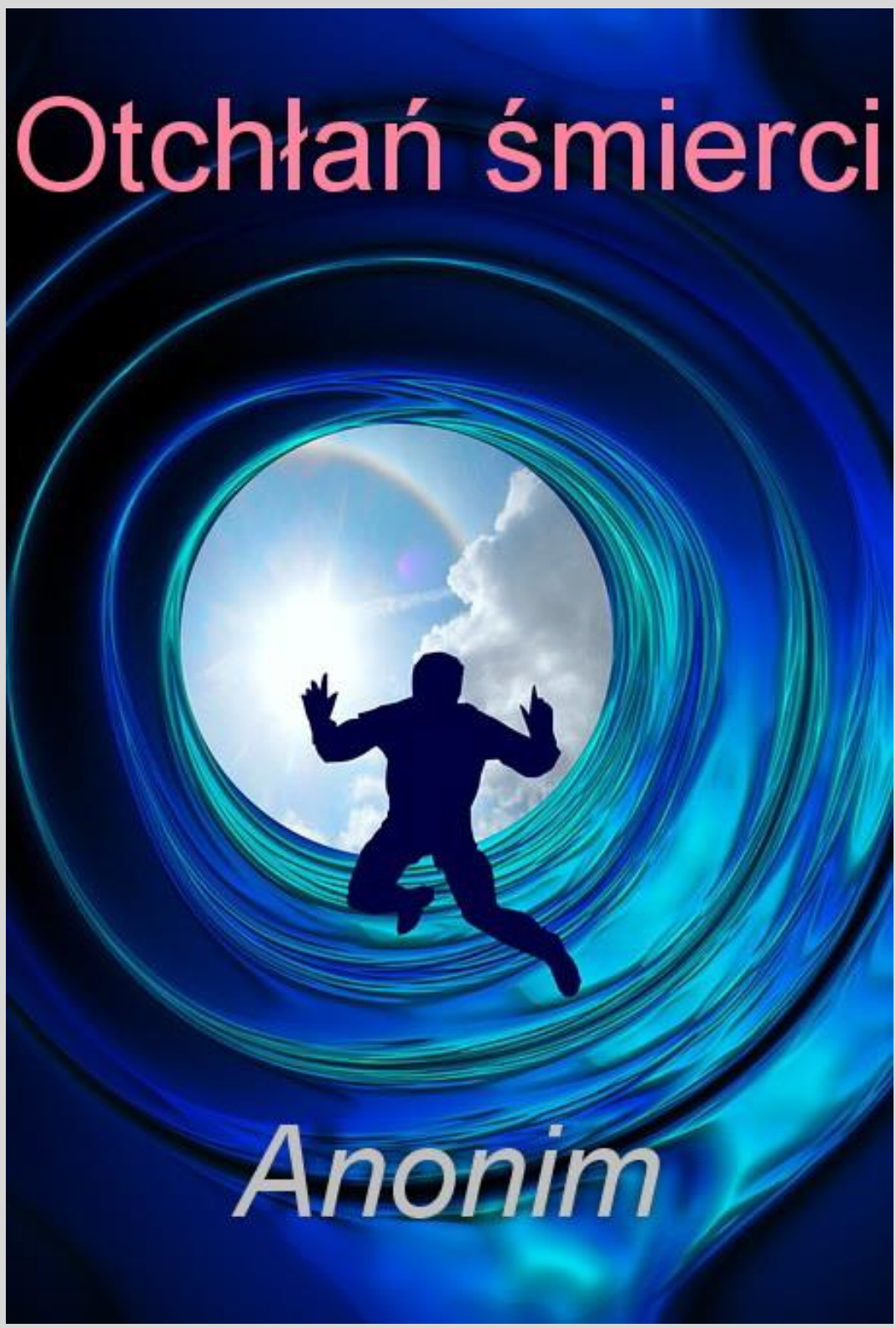


Otchłań śmierci



Anonim

OTCHŁAŃ ŚMIERCI

Anonim

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA Z ANGIELSKIEGO

CZERNIOWCE 1923

ODBITO W DRUKARNI J. FILIPESCU

ROZDZIAŁ I

Śmierć światu!

Był to rok 4000.

Mroźny luty trzymał świat w swoim lodowatym uścisku, ale ludzie drwili z przyrody.

Albowiem doszli do tego, że ujarzmili przyrodę i stali się naprawdę panami świata.

Wszystkie siły natury służą człowiekowi, poszły do niego w niewolę.

A jednak ci wszechpotężni ludzie igrają z ogniem, nie doceniają wielkiej, tajemniczej mocy, ufni w swoje siły walczą o posiadanie świata, który nigdy do nich należeć nie będzie, ponieważ są rzeczy, które dla człowieka mają zostać wieczną zagadką.

Wszak ludzie z prochu powstali, w proch się obrócić muszą. Niektórzy wiedzą o tym, ale pamiętać nie chcą, oszukują sami siebie i tak będzie aż do chwili, kiedy świat wypowie człowiekowi jego istnienie, kiedy ta sama siła, która ziemię stworzyła, rozbije ją na szczątki jak bezużyteczną skorupę...

Noc rozpięła czarne skrzydła ponad światem, nieprzenikniona czarna noc, która wszystko pochłania, noc bez blasku księżyca. Noc objęła miasto, to wielkie morze betonu i żelaza, otuliła żałobnym płaszczem parowce na morzu, rozsnuła zasłonę na tysiącach domów, pałaców, w których mieszkają ludzie. Różni ludzie: bogaci z najbogatszych i ci, co w znoju walczyć muszą o codzienny kawałek chleba, szarpani trwogą, że na jutro im już nie starczy.

Ponad tym wszystkim noc, ciężka, tajemnicza, a wielkie miasto San Francisco śpi.

Oko, jak sięgnąć wokół na tysiące metrów, nie widzi nic, tylko domy i ulice, aż wreszcie tam, gdzie kończy się żelazo, betonowe morze, zaczynają się ogrody i uprawne pola.

I tam oto od czarnej opony nocnego nieba odcina się długa, ciemna, olbrzymia rura, której kontury roztapiają się w ciemnościach nocy i przez to jeszcze potężniejszymi się zdają. To rura olbrzymiego teleskopu, zbudowanego przez tysiące lat pracy ludzkiej. A Dr. Fabrycyus jest tym człowiekiem, który ów teleskop posiada.

Najpiękniejszy, najkosztowniejszy na ziemi teleskop Shywaya. Dr. Fabrycyus jest

człowiekiem bogatym, posiada miliony w złocie, ale niczym mu całe jego bogactwo wobec tego największego skarbu.

Biała jak mleko głowa podnosi się z ponad stołu. Subtelne, zielonkawe światło lampy elektrycznej sieje blask z pod jedwabnego abażuru. Mężczyzna, siedzący przy stole, powstał. Niskiego wzrostu, o niezwykle wysokim czole i wgłębionych oczach myśliciela. Człowiek ten kieruje się na taras, gdzie na marmurach tkwi dumny „Shyway” i spogląda w wszechświaty. Mały, chudy człowieczek zbliża się do teleskopu i patrzy długą chwilę, potem odwraca twarz, ściągniętą jakimś dziwnym kurczem. Nie można Dra. Fabrycyusa nazwać pięknym, przeciwnie jest on prawie brzydki. Dwoje szarych oczów o twardym wyrazie rzuca niekiedy błyskawice, które jednak gasną zaraz, a powieki ciężko, jakby u trupa, opadają na źrenicę. Brwi wielkie siwe krzaczaste, nos wąski, haczykowaty, na twarzy coś drapieżnego. Nadmiernie Biała jak mleko głowa podnosi się z ponad stołu. Subtelne, zielonkawe światło lampy elektrycznej sieje blask z pod jedwabnego abażuru. Mężczyzna, siedzący przy stole, powstał. Niskiego wzrostu, o niezwykle wysokim czole i wgłębionych oczach myśliciela. Człowiek ten kieruje się na taras, gdzie na marmurach tkwi dumny „Shyway” i spogląda w wszechświaty. Mały, chudy człowieczek zbliża się do teleskopu i patrzy długą chwilę, potem odwraca twarz, ściągniętą jakimś dziwnym kurczem. Nie można Dr. Fabrycyusa nazwać pięknym, przeciwnie jest on prawie brzydki. Dwoje szarych oczów o twardym wyrazie rzuca niekiedy błyskawice, które jednak gasną zaraz a powieki ciężko, jakby u trupa, opadają na źrenicę. Brwi wielkie siwe, krzaczaste, nos wąski, haczykowaty, nadaje twarzy coś drapieżnego. Nadmiernie wielka głowa spoczywa na wąskich ramionach, które zda się z trudem udźwignąć ją mogą. Tak wygląda Dr. Fabrycius.

Nikt go nie zna, nikt go jeszcze nie widział, człowiek ten żyje wykreślony z pośród społeczeństwa ludzkiego. Jediną istotą ludzką, która ma do niego dostęp, jest jego służący Rhy, silny jak niedźwiedź chłop, z rodu Singhalezów, Dr. Fabrycius chodzi tam i z powrotem, wargi jego poruszają się, szepcząc słowa, szyfry, jakieś formułki — te wargi drżą nerwowo, wyrzucała przekleństwa, aby się potem znowu zaciąć w milczeniu.

I znowu spieszy do swego teleskopu i patrzy. A, więc tak! Stało się! To prawda, świat zginąć musi! Drżącymi rękami pisze na skrawku papieru fatalną formułę, cyfrę 6577. Potem w uniesieniu gniewu drze tę kartkę na drobne kawałki i zakrywa, oczy rękami,

drżąc na całym ciele w bezmiernym przerażeniu.

Straszne odkrycie....

— Cztery tysiące lat liczymy ziemi wieku, a ileż tysięcy lat istniała już przed, zanim zaczęliśmy liczyć jej lata, a teraz ma przyjść koniec, ziemia ma się rozpaść w proch, a z nią razem dziecko ziemi, człowiek.

Po niebie przesuwają się chmury. Dr. Fabrycius goni je posępnym wejrzeniem.

— Jak długo będą jeszcze te chmury przesuwać się przed oczyma człowieka, jak długo — Sześć tysięcy pięćset siedemdziesiąt siedem godzin. Tyle o to czasu pozostało człowiekowi na ziemi, a potem przyjdzie koniec zagłada świata.

Fabrycius nie wypowiada tych słów, ale szumią mu one w uszach tak mocno, tak uparcie, te przesłania sobie uszy dłońmi. A jednak huczą mu one w głowie złowieszczo.

Jeszcze kilka miesięcy, jeszcze kilkaset dni,

Jeszcze kilka tysięcy godzin, a potem stanie się — koniec życia, koniec bytu, koniec świata.

Znowu spieszy uczony doktor do swego teleskopu i spogląda w otchłań wszechświata, aby przekonać się po raz nie wiadomo który, że tai straszliwa planeta, zwiastująca zagładą ziemi, nie ustąpiła. Istnieje, trwa i pędzi z szybkością tysiąca mil na minutę przez bezmiar wszechświata. Coraz bliżej, coraz bliżej. I pochłonie wkrótce nieszczęsną ziemię, może zginie przy tym sama ta obca, wroga planeta, ale ziemię, ojczyznę ludzi jednym uderzeniem obróci w nicość.

Koniec, śmierć.

Nogi uginają się pod doktorem Fabryciusem, krople zimnego potu wystąpiły mu na czoło, w mózgu rysują się wyraźnie fatalne cyfry: 6. 577.

Czyż nie ma na to rady?

ROZDZIAŁ II

Tajemnicze posłannictwo.

Mały diabełek przy elektrycznym piecyku otworzył swoją paszczę. I kłapnął szczęką 8 razy.

— Ósma godzina — potem szczęka opadła i mały diabełek umilkł.

Wówczas to otwarły się drzwi i do pracowni największego astronoma 50-letniego stulecia, wszedł wysoki, barczysty mężczyzna, o brunatnej cerze. Był to Rhy, służący Dra Fabrycusa.

Bez słowa postawił na stole śniadanie, która Dr. Fabrycius spożywał a raczej połykał szybko, myśląc o czym innym. Ukończywszy jedzenie, nacisnął guzik dzwonka i zawezwał służącego do siebie.

Rhy trwożnie spoglądał w oczy swojemu; panu. Ten olbrzym drżał przed tym małym, chudym człowieczkiem.

— Idź teraz, Rhy i postaraj się mi o adresy największych miliarderów w Ameryce. Służący skłonił się głęboko i zniknął. Dr. Fabrycius pozostał sam. Zaczął przeglądać papiery na swoim biurku i znowu zobaczył cyfrę 6. 577.

Dr. Fabrycius zaklął straszliwie, zmiął kartkę papieru i rzucił na podłogę i zdeptał nogą.

— Przekleństwo przeznaczeniu! Orzekło o naszej zagładzie, a jednak; my pójdziemy przeciwko przeznaczeniu, my, my ludzie. To mówię, ja, Dr. Fabrycius. Nie na darmo przepracowałem całe życie!

— Ujdziemy śmierci!... Zwyciężymy!... Będziemy tryumfować i żyć!...

Mijały minuty i kwadransy... Mózg dra Fabrycusa spoglądał w zamyśleniu przed siebie — w śnieżną dal.

Chciał oderwać na chwilę myśl od swego strasznego odkrycia, ale nie udawało mu się to.

W mózgu tkwił mu ciągle uparcie jeden i ten sam obraz...

Doktor Fabrycius mocniej otulił się futrem. Było mu bardzo zimno, choć futro doskonałe i wóz zamknięty. Ale myśl o śmierci, o zagładzie wywoływała ten lodowaty dreszcz.

Doktor Fabrycyus zebrał całą swoją siłę woli i energii, aby się otrząsnąć z przygnębiającego wrażenia... Wszak tylko odwaga i zimna krew mogą go uratować!... Mózg pracował gorączkowo... Nie tylko obawa śmierci władała najznakomitszym astronomem świata, ale i chęć postawienia na swoim — na przekór przeznaczeniu!... A do tego potrzebne są pieniądze... Pieniądze i Robur Hall!...

Tylko Hall może mu pomóc... On tylko potrafi stworzyć to, co do tej straszliwej, bezprzykładnej walki jest konieczne!...

Doktor Fabrycyus snuł dalej swoje plany... Sądził, że Robur Hall da się z łatwością przekonać i pozyskać.. Ale tamtych pięciu... Jak do nich przemówić, aby zrozumieli, aby uwierzyli, aby go nie wzięli za wariata!... Trzeba ich opanować — tych złoconych wilków ... Ale by to osiągnąć, trzeba poznać charakter, namiętności, słabostki każdego z nich!...

Doktor Fabrycyus podniósł się z siedzenia i odsunął szybkę okienka:

— Jim!... jedziemy z powrotem do domu!...

Jim posłusznie zawrócił.

Minął tydzień.

Było to wieczorem, gdy Mr. Jonas Aberdeen siedział w ogrodzie na dachu swego przepysznego domu.

Był to mały, niepoważny człowiek, owinięty w czerwone, jedwabne, japońskie kimono.

Także i rysy jego twarzy miały w sobie coś japońskiego, pomimo że był Amerykaninem.

Może powodem był fakt, że Jonas Aberdeen żywił dla ludu japońskiego specjalną sympatię. W domu jego wszystko urządzone było na japońską modłę i według japońskich zwyczajów...

Ogród na dachu jego domu — to prawdziwy raj... Przecudne kwiaty japońskie wystrzelają z ziemi, pośród małych drzewek, okrytych różowym kwieciem — widnieje japońska świątynka, której wewnątrz purpurowo oświetlone tchnie czymś mistycznym, tajemniczym, nieodgadnionym...

Mr. Aberdeen słuchał z rozkoszą dźwięków płynących z japońskiej świątyni. Przy akompaniamencie instrumentu, przypominającego mandolinę, słodki głos kobiecy śpiewał miłosną pieśń japońską...

Do zachwyty domieszało się zarazem trochę zdziwienia, albowiem Jonas Aberdeen

nie miał pojęcia, kim może być owa tajemnicza śpiewaczka.

Mr. Aberdeen wstał i cicho, cichutko, aby nie spłoszyć niewidzialnej śpiewaczki, zbliżał się ku świątyni.

We wnętrzu świątyni na jedwabnych, rozesłanych na ziemi poduszkach siedziała mała Japonka i brząkając palcami po strunach, snuła swoją smutną pieśń...

Jonas Aberdeen stanął? Na progu jak zahipnotyzowany i pochłaniał wzrokiem urocze zjawisko, dziwnie fascynujące w małym jasno-czerwonym świetle.

Wreszcie pieśń umilkła... Śpiewaczka podniosła się z ziemi i wyszła.

Jonas spoglądał na nią, nie śmiejąc podejść, albowiem wydaje mu się nie kobietą z krwi i ciała, ale jakąś zjawą nieziemską...

Nie wiedział, skąd przybyła i w jaki sposób dostała się do tego domu, tak pilnie strzeżonego w dzień i w nocy.

I po co przybyła?

Mała kobietka przesunęła się bezszelestnie koło Aberdeen i uszedłszy kilkaset, kroków przystanęła. Pośród wonnych kwiatów i kwitnących krzewów wyglądała jak róża, przepysznie rozwinięta.

Czekała tak przez chwilę. Potem dały się znowu słyszeć tony muzyki. Drżące, pieszczotliwe tony płynęły skądś z oddali... Łkały... i wybuchały radością... kołysały... pieściły... i zapraszały do tańca !... Kobieta zaczęła tańczyć... Biodra poruszały się w takt muzyki...

Małe nóżki poruszały się rytmicznie... Dziwny był to taniec... niby elfa w noc księżycową, czy jakiejś boginki kwietnej...

Jonas Aberdeen trwał bez ruchu przed świątynią. Jego błyszczące oczy utkwione w zwiewnej postaci tańczącej kobiety — piły wdzięk jej ruchów i urok wiotkiej kibici...

Mijały minuty... Jonas Aberdeen stał jeszcze ciągle bez ruchu i spoglądał na miejsce, na którym stała Japonka...

Urocza zjawka znikła... rozwiała się... jakby wsiąkła w wonne płatki kwiatów...

Chwilę trwał jeszcze Aberdeen jak skamieniały i rozszerzonymi źrenicami spoglądał w to miejsce, gdzie drobne, śliczne nóżki w sandałach dotykały ziemi w tańcu. Potem skoczy! Nagle... podbiegł do klombu — pomiędzy kwitnące krzewy... I szukał... szukał na próżno...

Nie było jej... Zniknęła jak czarowny sen, spłoszony przez światło dnia...

— Co to znaczy — pytał sam siebie zdziwiony miliarder. — Czy ja śniłem?... Czy

to halucynacja?...

A, jednak — nie... to była prawda — realna prawda — ponieważ tam na małym stoliku leżał mały kawałek białego kartonu o złotych brzegach...

A z tej kartki wyzierały ku Jonasowi japońskie litery...

Szybko pochwycił bilecik i oto co przeczytał: „Chodzi o twoje życie, Jonasie! Czy chcesz je ocalić? W takim razie wykonaj to, co ci polecam 15 marca o godz. 22 staw się w willi, „Zamczysko”, która jest własnością dra Fabrycyusa! On cię uratuje!

Mr. Aberdeen potrząsnął głową w zdumieniu i obejrzał raz jeszcze bilecik. Z tej białej kartki biła uderzająca woń jakichś perfum japońskich...

Miliarder Jonas Aberdeen był marzycielem, był poetą w duszy, a to co go teraz spotkało — poruszyło do głębi jego wrażliwą naturę...

Japonia zjawiła się przed nim w postaci uroczej Lo-Tse...

Ale kto ją przysłał i co to wszystko ma znaczyć?...

Niebezpieczeństwo życia?... Ma się ratować? Przed czym?... Przed kim?... Czyżby planowano na niego jaki zamach?...

I co ma z tern wspólnego doktor Fabrycyus, najśłynniejszy astronom świata...

On ma ocalić Jonasa Aberdeena?

Ale kto jest ta mała, urocza Lo-Tse?

A może to jednak sen?

Mr. Aberdeen usiadł znowu i nalał sobie filiżankę mocnej, gorącej herbaty, chcąc w ten sposób uspokoić nieco swoje wzburzone nerwy.

Przed oczyma jego duszy snuł się ciągle ten sam obraz: dwoje w migdał wyciętych oczu, zwiewna postać kobieca, otulona w jedwabne, miękkie kimono...

W uszach dźwięczała mu rozmarzająca, miłosna muzyka...

— Lo-Tse... Lo-Tse... — powtarzały machinalnie wargi...

Miliarder Jonas Aberdeen był pokonany!...

Dawno wybiła już 19-a godzina w urządzonej z rafinowanym przepychem pracowni Phineasa Rootha. Wspaniałe mahoniowe meble, ciężkie brokatowe obicia, antyczne gobeliny, olbrzymi puszysty perski dywan — mówiły o nieprzebranym bogactwie, jakim rozporządzał Mr. Rooth.

Przed laty kazał sobie zbudować pałac, obejmujący 96 komnat — a jednak tylko dwupiętrowy.

Za każdy cal ziemi pod budowę płacił Rooth dziesiątki tysięcy dolarów, byle tylko nie

mieszkać w 70-cio czy 80-cio piętrowym drapaczu chmur, jakie można było oglądać na każdej ulicy miasta.

Mr. Rooth był to wysoki, kształtny mężczyzna o twarzy charakterystycznie zarysowanej... Dwoje przenikliwych, stalowo - szarych oczu spoglądało na świat i ludzi dumnie w poczuciu niezwykłej siły bogactwa...

Pykając krótką, malachitową fajeczką, siedział bogacz przy biurku i kontrolował ostatni bilans.

Stos ksiąg handlowych leżał przed nim, a Phineos Rooth zagłębiał się w badaniu nieskończonej długich kolumn kilkunastocyfrowych pozycji pieniężnych...

Mr. Rooth prowadził wygodne, ale solidne życie i nie wydawał nawet połowy swoich kolosalnych dochodów.

Pomimo dziesięciu własnych samolotów, piętnastu samochodów, jachtów, nieprzeliczonej, gromady służby — zmuszony był corocznie przekazywać ogromne sumy na swoje konta bankowe.

Nie na próżno zwano go królem węglowym, albowiem zdołał zjednoczyć w swoim ręku wszystkie kopalnie węgla Stanów Zjednoczonych, a przecież liczył dopiero lat trzydzieści!...

Pomimo tego nie pozwalał sobie na próżnowanie i pracował pilnie. Sam zaharowywał się formalnie, ale i od swoich funkcjonariuszy wymagał maksymalnej ilości pracy.

Słynął ze swej działalności filantropijnej, kiedy chodziło o wspieranie instytucji humanitarnych, ale był najbezwzględniejszym, najbrutalniejszym Yankesom w sprawach handlowych.

Stworzył własny system. Sławiono go i lękano się. Szczególnie drżeli przed nim robotnicy, ponieważ nie ustawał w intensywnej pracy, ale ciągle wyęczał na nowo siły w kierunku wyciśnięcia z ludzi wszystkiego, co rzucić mogli w ofierze kapitalistycznemu demonowi złota.

Mr. Phineas Rooth podniósł głowę z nad ksiąg handlowych i zapalił wonnego papierosa. Błękitny dymek rozsnuwał się w powietrzu, a Mr. Rooth ścigał go wzrokiem. Nowy bilans zadawała go w zupełności. Geny spadały, a dochody zwiększały się. System eksportu w olbrzymich ilościach pozwalał obniżać ceny, przy jednoczesnym uwielokrotnianiu zysków.

Jeszcze tylko krótki czas, a stanie u celu swych pragnień...

Stanie się królem węglowym całego świata!

Ta myśl wydobyla uśmiech na jego wąskie wargi.

Chciał jako przemysłowiec wyrównać swej sławie, którą osiągnął jako najekscentryczniejszy człowiek Ameryki. O jego ekscentrycznych wybrykach mówiono i pisano nie tylko w Ameryce, ale na całym świecie. A Mr. Rooth pragnął, aby tak samo głośzono jego wielkość kupiecką. Dotychczas mówiły o tym tylko same cyfry...

Dopiero w ubiegłym tygodniu...

Mr. Rooth przesunął ręką po czole. Musiał z wysiłkiem koncentrować myśli, ponieważ odczytanie tego bilansu nie było rzeczą łatwą... A jednak nikomu nie pozwoliłby się król węglowy wyręczyć w kontroli ksiąg.

Nie ufał nawet swojemu głównemu dyrektorowi. Nie ufał nikomu. Chciał wszędzie i za-wsze sam przekonać się osobiście, czy wszystko jest w porządku.

Niespodziewanie zjawiał się w południowej Ameryce, albo wy pływał na dalekiej północy i przeprowadzał ścisłą kontrolę.

Niesprawiedliwości nie mógł mu nikt zarzucić, ale nieubłaganym był dla niesumiennych lub opieszłych funkcjonariuszów.

Winowajca wylatywał jak z procy!... I mógł sobie jeszcze pogratulować, jeśli go nic gorszego nie spotkało.

Rooth zgniótł płonący papieros w popielniczce i podniósł się z obitego skórą fotelu. Praca nie była wcale łatwą. Cyfry były tak wysokie, że zmęczyć mogły nawet umysł człowieka przywykłego do obracania wielomilionowymi kwotami.

Z lekkim westchnieniem sięgnął miliardier do swej papierośnicy i zapalił świeżego papierosa. Potem podszedł do okna i wyjrzał przez, nie.

Olbrzymi mur przesłaniał mu widok. Był to boczny front sąsiedniego 60-piętrowego drapacza chmur.

Ta ściana, przesłaniająca kompletnie widok, irytowała niesłychanie Rootha. Już dawno chciał kupić tego olbrzyma, ale właściciel chytry Izaak Wolf nie chciał go absolutnie sprzedać, pomimo oferowanej mu niezwykle wysokiej ceny kupna.

Ktoś zapukał do drzwi. Lokaj podał miliardierowi bilet wizytowy.

Rooth spojrział na niego ostro:

Co to znaczy? Czy ja dzisiaj przyjmuję?! Służący zmieszał się.

Ten pan nie pozwolił się w żaden sposób odprawić...

Rooth miał już słowa ostrej nagany na Hastach, ale ten gość tak natarczywy

zainteresował go. Wziął bilet do ręki i przeczytał:

Alii S e e b a r

— Prosić!

Służący zniknął za drzwiami.

— Seebar — zabrzmiał głęboki bas i olbrzymią postać wcisnęła się przez drzwi do pokoju.

Miliarder ze zdumieniem spoglądał na swego gościa. Był to niechybnie Syngalez.. Kolosalna, grubo ciosana figura, wtłoczona w eleganckie, najmodniejsze ubranie. Doktor Fabrycius uśmiełby się, gdyby mógł zobaczyć swego służącego Rhy w tym stroju.

Mr Seebar rzekł z pełną godności powagą:

--- Przybywam tu w imieniu mego władcy, cesarza Singapuru! Jestem jego prezydentem ministrów.

Mr Rooth skłonił się lekko i zaprosił gościa, aby usiadł.

— Czym mogę panu służyć, Mr Seebar?

— Potrzebujemy węgla, panie Rooth.

Mr. Rooth spojrział zdziwiony.

— Niech pan zwróci się do mego dyrektora. Mr. Giahama. On załatwia takie sprawy.

Nie, Mr. Rooth!... Ja chcę to załatwić z panem samym.

Ton gościa był tak wyzywający i imperatywny, że miliarder zdumiał się, chciał coś odpowiedzieć, gdy nagle dała się słyszeć krótka detonacja... Huknął strzał...

Zadźwięczało stłuczone szkło... To przez okno wpadła do pokoju kula rewolweru...

Mr. Rooth zerwał się z fotelu i podbiegł do okna... I w tej chwili światło zgasło... Pokój cały pograżył się w ciemnościach...

A tam z dołu spoglądała ku niemu jego własna twarz do potwornych rozmiarów powiększona...

A potem i to zniknęło, a zaczęły wyskakiwać jedna za drugą litery.

Do najwyższego stopnia zdziwiony milioner czytał:

„Phinęas Rooth! Chodzi o twoje życie!... Jeśli chcesz je uratować, to bądź mi posłusznym... 15-go marca w willi dra Fabrycusa „Zamczysko“ o godz. 22. Przybywaj!...

Doktor Fabrycius czeka na ciebie!... On jeden ocalić cię może!...

A potem światło znowu zajaśniało... Rooth obrócił się. Gościa już nie było w pokoju

— tylko na biurku leżał bilecik z czarnego kartonu, na którym widniały złote zgłoski... Coraz bardziej zdziwiony Rooth wyczytał na bidecie te same słowa ostrzeżenia, co poprzednio.

— Do stu piorunów!... Co to znaczy?...

Ale potem uśmiechnął się. Ten trick oryginalny podobał mu się... Wydobył notes z kieszeni i zanotował sobie datę.

15-go marca... 22 godzina. „Zamczysko” — dr Fabrycyus

Plan tak dobrze obmyślony - powiódł się Ekscentryczny Mr. Rooth był dla sprawy zyskany.. Zima już się przesiliła. Termometr wykazywał kilka stopni ciepła. Cudny poranek przedwiosenny wstał ponad ziemią.

Daleko... daleko od Waszyngtonu w najpiękniejszej okolicy znajdował się zimowy pałac miliardera Daughta.

Mr. Daught kochał piękno przyrody, a był dość bogatym, aby dogodzić każdej swej namiętności, każdej swej fantazji.

Z szybkością 175 kilometrów na godzinę pędził "Yukan"po falach.

Było to koło godziny jedenastej. Mr. Daught wstał o godzinie dziesiątej i kazał przygotować swoją łódź motorową "Yukana".

Przed dwoma laty, gdy sobie kazał zbudować tutaj pałac, zachciało mu się nagle uprawiać sport żeglarski.

Łódź znalazła się szybko. Brakowało za to czegoś ważniejszego - mianowicie wody!...

Mr. Daught nie zniechęcał się takimi drobnostkami. Jeśli natura czegoś nie stworzyła - należy jej pomóc. I oto po dwóch miesiącach intensywnych prac hydrologicznych Mr. Daught mógł sobie jeździć po najpiękniejszym jeziorze, jakie tylko sobie wymarzyć można.

Ta fantazja kosztowała wprawdzie ładną okrągłą, sumkę ale miliardera Daughta stać było na to.

Obecnie najmilszą rozrywkę jego stanowiła przejażdżka łodzią motorową po jeziorze. W lecie spędzał całe dni na wodzie, ale i teraz gdy kry lodu pływały po jeziorze, nie chciał zrezygnować z wycieczki i wyjechał łodzią na spacer.

Mr. Daught rozkoszował się cudnym porankiem i myślał o skarbach ukrytych w jego pałacu.

Dwie rzeczy na tym świecie mogły zainteresować Daughta: piękne widoki przyrody i

piękne obrazy.

Posiadał galerię obrazów, złożoną z najcenniejszych arcydzieł świata. Handlarze obrazów z całej kuli ziemskiej zjeżdżali się do niego, zwożąc mu najpiękniejsze dzieła pędzla najsłynniejszych mistrzów — oczywiście za najwyższe ceny.

Mr. Daught nie targował się długo i płacił każdą kwotę, jeżeli obraz przypadł mu do gustu.

Kilka tysięcy arcydzieł — to nie byle co — taka kolekcja!

Mr. Daught zacierał ręce z zadowolenia, gdy myślał o swoich zbiorach, mknąc motorówką po błękitnym zwierciadle jeziora.

Nagle podniósł głowę nasłuchując...

Co to za łoskot?... Hydroplan?...

Po chwili miliardier rozpoznał na skrzydłach hydroplanu swoje własne godła. To Sam, jego służący, przybywa.

Widocznie ma coś ważnego do zakomunikowania.

Hydroplan opuszczał się coraz niżej i po upływie minuty sunął już po modrej fali.

— Co się stało, Sam?

— Sir! Przybył handlarz z San Francisco, który oferuje panu jakiś cenny obraz.

Mr. Daught chwilę wahał się. Ranek był tak piękny... przejażdżka tak rozkoszna, że szkoda ją było przerywać...

Ale namiętność zbieracza zwyciężyła.

— Jedziemy do domu!...

Wkrótce potem lądował na wybrzeżu, gdzie służący oczekiwał już na niego.

— Mr. Peyton czeka w wielkim salonie — zameldował Sam.

Miliardem paliła niecierpliwość, co też za nowe arcydzieło zaoferuje mu handlarz?

To też nie zwlekając ani chwili, udał się do salonu.

Mr. Peyton była to komiczna figurka, mała, szczupła postać, na której wznosiła się nieproporcjonalnie wielka głowa. Z poza okularów w rogowej oprawie spoglądało dwoje chytrych oczu.

Przybysz skłonił się głęboko, kiedy zobaczył miliardera. Obok niego stał wielki, starannie owinięty pakiet, oparty o ścianę.

— Pan życzy sobie ze mną mówić, Mr. Peytona?

Gość skłonił się jeszcze raz.

Przywiozłem wspaniały obraz — rzekł. — Prawdziwego Rembrandta.

Mr. Daugth drgnął.

--- Gdzie ten obraz? — zapytał szybko.

Powoli, z namysłem odwijał handlarz swój pakunek. Widać było z każdego jego ruchu, że jest wytrawny w swoim rzemiośle. Wiedział dobrze, jak ma pobudzić zainteresowanie miliardera.

Trwało to kilka minut, zanim Mr. Peyton odsłonił obraz. Oczy gospodarza zapłonęły ogniem pożądania. Tak, to był Rembrandt! Wspaniały Rembrandt!

— Któż mi jednak zaręczy, że to jest oryginał? Wszak teraz jest tyle fałszowanych Rembrandtów w obiegu.

Handlarz wydobył z kieszeni plik papierów i podał miliarderowi. Były to poświadczenia najznakomitszych znawców. Autentyczność obrazu nie ulega już żadnej wątpliwości, skoro największe autorytety w tej dziedzinie nie wahały się to potwierdzić własnymi podpisami.

— Nieprawdaż Mr. Daugth, pan tego obrazu poszukuje już od dwóch lat?

— Tak jest istotnie. Kupuję ten obraz. Ile kosztuje?

Mr. Peyton namyślał się chwilę. Potem zaczął z wolna:

— Ten obraz liczy 3000 lat. Jest jednym z najrzadszych i najbardziej poszukiwanych arcydzieł sztuki.

Miliarder uśmiechnął się. Wiedział, co znaczy taki wstęp.

— Ile pan żąda za ten obraz? — zapytał raz jeszcze.

Mr. Peyton odetchnął głęboko.

— 150 milionów dolarów.

Miliarder spojrzał nieco zdziwiony. Była to suma, która nawet jego nieco zaskoczyła.

Obraz był stary i wielkiej wartości, ale kwota niezwykle wygórowana.

Handlarz obrócił się i położył obraz na stole. Po jego wargach przemknął uśmiech, ale Mr. Daugth nie zauważył tego. Miliarder walczył chwilę ze sobą. Mógł sobie wprawdzie pozwolić na zapłacenie tej tak wygórowanej ceny, ale irytowała go bezczelność żądania.

— Dam panu 100 milionów.

Mr. Peyton wzruszył ramionami.

— Ani centa mniej sir, niż powiedziałem.

I podszedł do okna, przez które jął wyglądać, nie troszcząc się już więcej o miliardera.

Długą chwilę panowała cisza. Mr. Daugh walczył ze sobą, ale wreszcie chęć nabycia oryginału Rembrandta zwyciężyła. Miliarder usiadł przy stole, wyrwał kartkę z książki czekowej i wypisał żadaną sumę. Potem podał czek handlarzowi.

Peyton obejrzał czek uważnie, potem uśmiechnął się.

— Wszystko w porządku. Dziękuję panu.

Miliarder nie spojrzał nawet na niego, a handlarz wyniósł się szybko, zrozumiał, że powinien jak najprędzej oddalić się sam, jeżeli nie chce wylecieć gwałtownie z pokoju.

Zaledwie Peyton opuścił salon, Daugh nacisnął dzwonek. Natychmiast ukazał się Sam.

— Weź ten obraz, tylko ostrożnie.

Miliarder pojechał windą na piętro, gdzie mieściła się jego wspaniała kolekcja sztuki. Grube ściany stalowe ukrywały tam bezcenne skarby sztuki, chroniące je przed oczyma ciekawych i przed pożądlivością złodziei.

Nikt się nie mógł tam dostać, kto nie posiadał specjalnie skonstruowanego klucza. Klucz ten nosił zawsze posiadacz kolekcji przy sobie.

I teraz własnoręcznie otworzył drzwi, prowadzące do kilkudziesięciu pokoi przepelnionych najcenniejszymi obrazami świata. Sam szedł naprzód, niosąc dzieło Rembrandta, które umieszczono w jak najlepszym miejscu.

Z dumą, błędziły oczy miliardera po tym skarbie, a ręce jego pieczołtliwie głaskały pełne prostoty ramy i drżały lekko.

Mr. Daugh różnił się tern od innych zbieraczy, że nie lubił nikomu pokazywać swoich zbiorów. Ukrywał je zazdrośnie przed ludźmi oprócz niego samego i służącego Sama, który okurzał dzieła sztuki, nikt nigdy tych skarbów nie widywał.

Mógł być zatem spokojny, że żadna chciwą ręką nie sięgnie po jego bezcenne skarby.

Była to godzina 8 ma, kiedy Mr. Daugh obudził się. Szybko podniósł się z łóżka i rozejrzył wkoło. Poczł swoisty, słodkawy zapach, który znał dobrze. Był to zapach chloroformu.

Przesunął ręką po czole. W skroniach puls bił niby młoty w kuźni. Zdawało się, że głowa pęknie.

Daugh spojrzł na zegarek. Dlaczego Sam go nie obudził?

Zadzwoił, ale nikt się nie zjawił. Zadzwoił drugi raz — cisza.

Tego już było miliarderoi za dużo. Wskoczył z łóżka i narzuciwszy na siebie szlafrok, zjechał windą, aby się dowiedzieć, co słyhać z Samem i ukarać go surowo za opieszałość.

Drzwi pokoju Sama były otwarte. Daugth wszedł i oczom jego przedstawił się następujący widok: Sam leżał na łóżku ze skrępowanymi rękami i nogami. W ustach miał knebel.

Biedak skierował błagalne spojrzenie na swego pana, Daugth poprzecinał więzy i wyjął Samowi knebel z ust, ale pomimo tego służący nie od-zyskał sił. Zwiślał on w ramionach Daugtha jak bezwładne dziecko.

Miliarder zawezwwał drugiego służącego, który zaczął Sama trzeźwić i rozcierać mu zeszywniałe ciało.

Po upływie pół godziny Sam przyszedł nieco do siebie.

— Co się stało, Sam? Opowiadaj!

Ale Sam nie wiele mógł opowiedzieć. W nocy w czasie snu napadnięto go i skrępowano. Kiedy się obudził, był już ubezwładniony. Czuł silny ból głowy i słodkawy zapach chloroformu.

Mr. Daugth potrząsnął głową w zamyśleniu. Co by to wszystko miało znaczyć? Kto i w jakim celu oszołomił jego samego i służącego?... Nie mógł znaleźć powodu.

Nagle straszliwa myśl błysnęła w mózgu. On i Sam byli jedynymi, którzy znali drogę do bezcennej galerii obrazów.

A ten oryginał Rembrandta, który kupił wczoraj?!

Teraz dopiero przypomniał sobie dziwny uśmiech na twarzy Peytona w chwili, kiedy handlarz odbierał czek...

Jednym skokiem znalazł się przy drzwiach.

— Sara! — krzyknął.

I potem wybiegł.

Nie upłynęła minuta, gdy stał przed drzwiami stołowymi, wiodącymi do galerii. Z zapartym w piersi tchem spieszył do sali, gdzie umieścił Rembrandta.

Odetchnął głęboko, z ulgą... Obraz wisiał na, swoim miejscu.

Sprawa stawała się jeszcze bardziej tajemniczą, więcej zagadkową.

Czego zatem chcieli ci nocni napastnicy, odurzający chloroformem? Do jakiego celu dążyli?

Daugth przeszedł wszystkie sale, chcąc się przekonać, czy nie skradziono mu jakich

innych obrazów. Ale wszystko było w porządku.

Zadowolony, a zarazem zaniepokojony ode- słał służącego, a sam pozostał w sali Rembrandta.

N i e mógł po prostu oderwać oczu od nabytego wczoraj arcydzieła. Pieścił je wzrokiem, w którym płonął ogień radości i dumy.

Nagle stanął jak wryty. Tam — u góry, na prawo — płótno oderwało się od ramy. Wczoraj Daugh nie zauważył tego. Czyżby istotnie nie dojrzał takiego szczegółu? Ale to było prawie zupełnie nieprawdopodobne. Albo może stało się to w nocy, w ciągu tej tajemniczej nocy...

Szybko zbliżył się do obrazu, aby zaraz odskoczyć, niby pałką rażony... Z gardła miliardera wydobył się krzyk, a nogi ugięły się pod nim...

Teraz zrozumiał dopiero, czego ci zagadkowi napastnicy chcieli... Teraz zrozumiał. Ukradli mu Rembrandta, najcenniejszy klejnot jego zbioru, a powiesili na ścianie bezwartościowy falsyfikat.

Jakby nie dowierzać temu nieszczęściu, o którym już by? Najmocniej przekonany, Daugh podszedł jeszcze raz do obrazu, aby po obejrzeć...

I zdumiał się. Na czarnym tle widniały ciemne litery:

„Mr. Francis Daught!

Chodzi o pańskie życie!... Chcesz je uratować? W takim razie — bądź mi posłuszny! 15 Marca 22 godzina w willi dra Fabrycyusa „Zamczysko”. Dr Fabrycyus czeka na ciebie. On jeden tylko uratować cię może. Wspomnij na Rembrandta, którego ci skradziono i przybądź”.

Mr. Daught stanął jak osłupiały. Co za zuchwalstwo!...

Nazwisko słynnego astronoma nie było mu oczywiście obcym. Znał również nazwę willi „Zamczysko”. 15 Marca. 22 godzina. Ale co to wszystko ma znaczyć?

— Mój Rembrandt! Muszę go odebrać... odzyskać!...

To była jedyna myśl, która go opanowała. O resztę nie troszczył się. Życie jego w niebezpieczeństwie? Głupstwo! Drobnostka! Ale Rembrandt! Oryginalny Rembrandt!

Mr. Daught biegał po sali tam i z powrotem, miotany wściekłością.

Co właściwie miał począć? Zwrócić się do policji? Kim był właściwie ten Peyton? Handlarzem obrazów z San Francisco?

Taki namiętny kolekcjoner dzieł sztuki, jak miliarder Daugh, musiał znać przecież wszystkich wybitniejszych pośredników, ale tego Peytona widział po raz pierwszy w

życiu. A ten dziwny uśmiech tego człowieka w chwili, gdy odbierał czek.

Miliarder nie wątpił już. Było to dlań zupełnie jasnym: tylko ten człowiek mógł ukraść obraz.

Czy jednak należy zwrócić się o pomoc do policji? Wszak dr Fabrycyus wzywa, aby przybyć w sprawie skradzionego Rembrandta. Widocznie wie coś o tym. A do dra Fabrycyusa, najsłynniejszego astronoma świata, miał miliarder pełne zaufanie, chociaż go dotychczas nie znał osobiście. Lepiej zatem poczekać. Wszak przecież 15 marca to już niedaleko.

Elektryczny diabełek wydzwonił 8 mą godzinę rano w chwili, gdy dr Fabrycyus zgasił lampę, stojącą na jego biurku. Znowu całą noc przepracował, a plon jego pracy był bujny. Miał przed sobą najprecyzyjniej przygotowany plan dla Robura Kalla. Na biurku przed nim leżał stos papierów. Rysunki, obliczenia, słowne objaśnienia. Dr Fabrycyus powstał od biurka i uporządkował papiery. W tej chwili zapukano do drzwi i służący astronoma Syngalez Rhy wszedł do gabinetu.

— No, cóż tam Rhy? Opowiadaj!

Służący uśmiechnął się w milczeniu i podał swemu panu bilet wizytowy z nazwiskiem Ran Yoor.

Na odwrotnej stronie biletu widniały tylko dwa słowa: „Przybędę na pewno“.

Dr Fabrycyus uśmiechnął się z zadowoleniem, potem poklepał swego służącego po ramieniu.

— Dobrze się sprawiłeś, Rhy. Jestem z ciebie zadowolony.

Rhy wysunął naprzód dolną wargę, co u niego było zwykłym grymasem, oznaczającym radość. Potem rzekł:

— Mamy ich wszystkich.

— A co jest z Ralfem O'Lean?

— Umarł ubiegłej nocy, trafiony apopleksją.

Z ust dra Fabrycyusa wyrwało się przekleństwo.

— Damy sobie radę i bez niego! Cóż dalej?

— Działalem tak, jak mi pan polecił. Francis Daugh, Phineas Rooth i Yonas Aberdeen pozyskani! Zbieracz obrazów, ekscentryk i marzyciel. Przybędą — jakem Rhy i pański służący, Sir. U Ran Yora byłem wczoraj i powiadomiłem go. Ma pan własnoręczne jego zapewnienie, iż się zjawi. O'Lean nie żyje. Dzisiaj miałem się z nim załatwić.

— A gazety? A tłum? — zapytał dr Fabrycyus.

— Żywa dusza nie wie o niczym. Żaden reporter — nawet najsprytniejszy ani przeczuwa. Na naszych ludziach możemy polegać. Lo-Tse otrzyma swoje honorarium. Peytonowi wypłaciłem dzisiaj umówioną sumę, a Rembrandt znajduje się już z powrotem w galerii lorda Spencera. Wszystko w największym porządku. Doktor Fabrycyus milczał chwilę. Potem wstał i rzekł:

— Przygotuj śniadanie! Potem przyjdź do mnie.

Rhy zniknął. Kiedy stawiał śniadanie na stole, zobaczył, że jego pan wielką kopertę zalepił i zalakował.

— Rhy! Zjedz cokolwiek i wypocznij godzinkę, a potem wsiadaj na samolot i leć do Nowego Jorku. Masz tutaj list do Robin Kalla. Mieszka Street 115. Oddaj mu list i powiedz, żeby po dokładnemu przestudiowaniu treści przybył do mnie w dniu 15 marca. Ma zatem dwa tygodnie czasu. 15 Marca o godzinie 22 oczekuję na niego. Odejdź teraz.

Rhy odszedł, a po upływie godziny wzniósł się w powietrze i skierował na północ w stronę Nowego Jorku.

ROZDZIAŁ III.

Kongres miliarderów.

W olbrzymiej sali „Zamczyska” płonęły wielkie lampy elektryczne, które rozsiewały łagodne, a jednak tak silne światło, że jaśniejszym się zdawało od światłości dziennej.

Rhy krzątał się po sali trochę zdenerwowany, ponieważ na nim spoczywała cała odpowiedzialność za odpowiednie przygotowanie przyjęcia dla miliarderów.

Dzisiaj — 15 marca 4000 roku!... Na godzinę 22-gą naznaczono zebranie, ale nikt się dotychczas nie pojawił.

Rhy wcale się tym nie przejmował. Ci zaproszeni to tacy wielcy panowie, że nie nawykli krępować się punktualnością.

Ale oni przybędą. — na pewno przybędą!... Wszystko było przecież tak doskonale

obmyślane i przygotowane, kosztowało tyle pieniędzy i starań, że udać się musi! Rhy chodził po olbrzymiej sali, oglądając czy wszystko jest w należyтым porządku. Sala olśniewała wspaniałym urządzeniem. Ściany obite były złotolitemi makatami, wąskie listwy u stropu były z czystego złota, podłogę zasłano przepyszными kobiercami, fotele głębokie — jak najwygodniejsze, obleczono cennym brokatem, popielniczki i inne drobiazgi ozdobiono brylantami.

Doktor Fabrycyus nie szczędził pieniędzy i wysiłku, aby zaimponować tym ludziom, którym tak trudno było czymś zaimponować.

Zegar wybił godzinę 22-gą. Już powinni tu być!... Czyż byli mieli skrewić?!...

Nagle Rhy posłyszał szum skrzydeł i w chwilę później olbrzymi stalowy ptak wylądował na dachu „Zamczyska”. Służący w liberii złotem haftowanej, pomagają gościowi przy wysiadaniu i prowadzą go do sali.

Tym pierwszym był olbrzymi Hindus o silnie charakterystycznych rysach twarzy.

Przybysz powolnymi, majestatycznymi krokami chodził po sali, z lekceważącym uśmiechem, przypatrując się luksusowym sprzętom, makatom, dywanom...

Nie pozostawiono mu dużo czasu na samotne rozmyślenia, albowiem w kilka minut po jego przybyciu rozwarły się drzwi i ukazał się w nich mały, niepokazny staruszek, z wyszukaną elegancją ubrany.

Bystrem okiem znawcy, ogarnawszy wszystko — odgadł odraz, że cały ten przepych był na pokaz, ad hoc przygotowany.

— Witam pana, Mr. Yoord! — zawołał doktor Fabrycyus, wyciągając ku gościowi małą, zwiędłą rękę. Pan zechce usiąść!...

Hindus Usłuchał machinalnie. Nie mógł w pierwszej chwili zapanować nad wrażeniem, jakie na nim zrobił dr Fabrycyus. To spojrzenie małych oczek, z pod krzaczastych brwi, miało w sobie coś fascynującego, coś poskramiającego...

Zaledwie zdolali zamienić kilka słów, gdy drzwi znowu się otwały.

— Mr. Pineas Rooth! — zameldował służący.

Rooth wszedł. Przedstawiono się sobie wzajemnie i zajęto miejsca.

W kwadrans po 22-giej wszyscy stawili się w komplecie. Brakło tylko Robura Halla.

A doktor Fabrycyus postanowił sobie czekać na tego człowieka.

Znowu drzwi się otwały. Żywe poruszenie wśród obecnych.

Służący zameldował:

— Mr. Ralf O'Lean!..

Chwila zdziwienia i przerażenia!...

Wszakże O'Lean nie żyje. Wiadomość o jego śmierci zawierały wszak wszystkie dzienniki... Zmarł — trafiony apopleksją...

A zatem — co to znaczy?!...

Stary, przygarbiony człowiek, wsparty na lasce, wszedł do sali..

Na Boga!... — wszakże to Ralf O'Lean we własnej osobie!... A więc — nie umarł!...

Doktor Fabrycyus pospieszył nowemu gościowi naprzeciw i pomógł mu usadowić się w fotelu.

Mr. O'Lean uśmiechnął się z lekka, widząc, że jego przybycie wywołało tak silne wrażenie.

Powoli — z wysiłkiem, podniósł się z fotelu.

— Moi panowie!... Pozwolicie że... — z tymi słowy zerwał przyprawioną siwą brodę i odrzucił laskę.

— Robur Hall!...

Zakotłowało się na chwilę. Wszyscy jeden przez drugiego, spieszyli uścisnąć rękę człowieka, którego nazwisko nikomu z pośród nich nie było obce.

Robur Hall słynął jako najzdolniejszy inżynier świata — jako geniusz techniki. Zatem jego obecność stanowiła najlepsze świadectwo, że chodzi o jakieś wielkie, niezwykle doniosłe sprawy.

Doktor Fabrycyus dał znak swemu wiernemu służącemu.

Natychmiast zamknięto drzwi i rozpoczęły się narady królów świata. Najpotężniejsze umysły, i największe kapitały...

Najsłynniejszy astronom, najwybitniejszy inżynier i najbogatsi miliarderzy!...

W sali panowała taka cisza, że brzęczenie muchy mogłoby uchodzić za nieznośny hałas. Nikt nie miał odwagi pierwszy zabrać głosu.

Wszyscy czuli, że słowa, które padną — będą miały znaczenie rozstrzygające. Coś wielkiego drży w powietrzu... A dr Fabrycyus jest zwiastunem tej jakiejś niesłychanej nowiny...

Miliarderzy starali się zapanować nad sobą, aby nie zdradzić niecierpliwości i zaciekawienia, jakie nimi miotano. Usiłowali przybrać miny obojętne, niemal znudzone.

Ale Robur Hall odgadł odraz, co się w ich duszach dzieje, że w najsilniejszym naprężeniu nerwów oczekują na słowa, które posłyszeć mają...

Nagle doktor Fabrycyus podniósł się i wraz z służącym swoim opuścił salę. Znowu minuty męczącego oczekiwania. Mr. Daught zapomniał o swoim skradzionym Rembrandcie, a Mr. Janas Aberdeen przestał myśleć o małej, tajemniczej, słodkiej Japonce — Lo-Tse...

Dwaj tylko ludzie wśród całego zebrania zachowali pełny spokój. Tymi ludźmi byli: Robur Hall, który znał tajemnicę doktora Fabrycusa, i Hindus Ran Yoor, zdecydowany stoik i fatalista.

Otworzyły się drzwi. Robur Hall uśmiechnął się zadowolony. Ten doktor Fabrycyus, to jednak diablo sprytny człowiek.

Zjawia się momencie najwyższego napięcia — ani za wcześnie, ani za późno!... Cichymi, sunącymi krokami wszedł do sali.. Długa, czarna toga owijała słabowitą postać astronoma. Głowę stroił mały beret z czarnego aksamitu.

Doskonale wystudiował on wrażenie, jakie powinien wyrzeć na swoich gościach... Dziwnie nieco wyglądał w swojej czarnej todze, ale interesująco i fascynująco... Za nim ukazał się jego służący Rhy, który popychał przed sobą wielki stół na kółkach. Na stole umieszczono rysunki, plany, ryciny, mapy. Był to materiał, potrzebny Fabrycyusowi do jego wykładu.

Rhy zatrzymał stół na środku sali.

Doktor Fabrycyusz zaczął:

— Panowie !

Urwał i przez chwilę czekał.

— Znacie mnie wszyscy!... Chcę wam coś powiedzieć — coś ważnego!...

Dlatego was wezwałem do siebie — najbogatszych z pośród, bogatych!... Wybaczcie mi podstępny, przy pomocy których zwałem was do mego domu. Nie dało się to zrobić inaczej. Zwykle zaproszenie — nawet moim nazwiskiem podpisane, chybiłoby celu. Zlekceważylibyście je, a ja musiałem z wami pomówić — aby was uratować... Albowiem wszystkim wam grozi zagłada!...

Cisza. Po chwili doktor Fabrycyus ciągnął dalej:

— Znacie mnie jako astronoma. Od wielu lat badam tajemnice wszechświata. Znam każdą gwiazdę na niebie, znam tak ten firmament niebieski — jak wy znacie swoje pałace. Noce spędzam, spoglądając w gwiazdy przez mojego Shywaya. Żywe poruszenie wśród zgromadzonych.

— Nowa planeta pojawiła się. Nie znam jej. Nie wiem skąd przybywa i jaka jest

jej istota. Ale to wiem, że zwiastuje nam zagładę!... Badałem drogi tego złowrogiego gościa z zaświatów... Za dziewięć miesięcy od dnia dzisiejszego potrafi naszą ziemię i rozbije ją na drzazgi...

I oto przed kilku tygodniami ujrzałem coś takiego, o czym pragnę was powiadomić...

Bo was to wszystkich dotyczy, wszystkich, którzy żyjecie na ziemi... A nikt tej tajemnicy nie zna, — prócz mnie...

Jak marną, kruchą, skorupę!... To wam właśnie chciałem powiedzieć, panowie!...

Doktor Fabrycyus umilkł.

Nie rozglądał się wokół. Patrzył przed siebie.

Blady strach rozpiął zimne skrzydła nad zgromadzeniem.

Oświadczenie doktora Fabrycyusa wstrząsnęło do głębi miliardami.

Po raz pierwszy zrozumieli, że pomimo swych kolosalnych bogactw, pomimo materialnej potęgi są bezsilni wobec tych tajemniczych mocy, które władną losami świata.

Doktor Fabrycyus spoglądał w ich poblądłe, nerwowo drgające twarze... Prawie niedostrzegalny uśmiech przemknął po jego wargach.

Wszakże oni nie wiedzieli jeszcze...

— Panowie! — nie po to was tutaj sprowadziłem, aby wam obwieścić, że umrzeć macie... Dążę do czegoś innego. Na przekór losowi — chcę uratować siebie i was! Zapytacie, w jaki sposób? Musimy uciec — to nieprzeparta konieczność!... Musimy zwyciężyć potęgę przeznaczenia.

Dokąd uciec i w jaki sposób zorganizować tą ucieczkę? Tego sam sobie dotychczas ostatecznie nie sprecyzowałem. Dlatego właśnie zavezwałem najgenialniejszego inżyniera Robura Halla. On panom wyjaśni swój plan w głównych zarysach. A ja tylko chcę zwrócić uwagę na jeden z najistotniejszych punktów tego planu — na sprawę kapitału.

— Panowie! Według dokonanych przeze mnie pomiarów, nowa planeta jest dwa razy większa od naszej ziemi. To też wątpliwości nie ulega, że ziemia zostanie kompletnie rozbitą i zniszczoną. Musimy uciekać!... Musimy rozpocząć, nowe życie na innej planecie!... Celem naszym będzie najprawdopodobniej najbliższa ziemi planeta — Mars!...

Techniczne trudności tej niezwyklej ekspedycji rozwiąże Robur Hall!

Doktor Fabrycyus zamilkł i wyczerpany opuścił się na swój fotel, oddychając ciężko.

Słuchacze trwali w milczeniu — przygnieceni wielkością objawienia... Potęgą tej siły, która w jednej chwili mogła zdruzgotać ziemię niby dziecinną zabawkę, a razem z ziemią i ich samych — multimiliarderów, najbogatszych ludzi, świata.

A potem... potem — te słowa doktora. Lot na Marsa? Lot o życie? Ucieczka z jednej planety na drugą?

To było coś tak wielkiego, że przerastało ich siły.

Cisza. Nikt się nie odezwał, Wreszcie doktor Fabrycyus zabrał znowu głos:

Poproszę was, panowie, abyście się udali ze mną do mego obserwatorium, gdzie będziecie mogli własnymi oczyma przekonać się o prawdzie mych twierdzeń.

Ujrzyście tę gwiazdę, która zwiastuje ziemi zagładę i którą dlatego nazwałem „Demonem”, oraz będziecie mogli popatrzeć na Marsa, na tę planetę, która ma zostać naszą nową ojczyzną.

Doktor Fabrycyus złożył ukłon swoim gościom i zadzwonił. W tejże chwili Rhy otworzył wielkie drzwi.

Nieco niepewnie i chwiejnie dążyli za astronomem jego goście.

Przeszli długi szereg pokojów i korytarzy, po stromych schodach poprowadzono ich na wieżę, gdzie znajdowało się obserwatorium.

Z podziwem oglądali miliarderzy sanctuariurn astronoma. Objęła ich olbrzymia kopuła — a ponad głowami mieli tylko niebo ciemnoszafirowe, prawie czarne niebo.

Doktor Fabrycyus w sposób bardzo przystępny wyjaśnił swoim gościom budowę Shywaya największego i najdokładniejszego teleskopu świata.

Wszyscy przybyli, jeden po drugim, obserwowali złowrogiego „Demona”, a gdy już własnymi oczyma obejrzelili tę planetę śmierć niosącą ziemi — gospodarz zaprosił gości z powrotem do złotej sali, gdzie podano wino i przekąski.

— Posilcie się panowie! — zapraszał uprzejmie doktor Fabrycyus — po takim wysiłku nerwowym należy koniecznie pokrzepić ciało.

Przy winie wszczęła się pogawędka, która oderwała na chwilę myśli od wielkiego problemu.

Ale doktor Fabrycyus czuwał.

— Panowie! Dr. Robur Hall chce wygłosić kilka słów!

Robur Hall podszedł do wielkiego stołu, na którym leżały rysunki i zaczął:

— Doktor Fabryciusz już przed paru tygodniami powiadomił mnie o wszystkim. Miałem więc już dość czasu, aby się trochę w tej tak zawiłej sprawie zorientować.

Widzicie panowie na tym rysunku ziemię i Marsa, który ma być naszą przystanią. Cyfry, które panom przedstawił doktor Fabrycyus, same mówią za siebie, uprzytomniając wielkość zadania. Mamy przebyć 8 milionów mil. Rozumiecie chyba wszyscy, co to znaczy. Żaden typ dotychczasowego wehikułu powietrznego nie zdoła pokonać takiej odległości. Musimy się uchwycić innych środków, skonstruować jakiś zupełnie nowy statek powietrzny, który by nam umożliwił wykonanie naszego planu. Szczegóły podam panom później. Teraz chcę tylko naszkicować wszystko w głównych zarysach. Mam przed sobą dwa zadania. Nie tylko bowiem o to chodzi, abyśmy się dostali na Marsa... My chcemy przecież żyć, chcemy zwyciężyć siły przyrody.

Dr. Fabrycyus powiedział państwu już sam, że dotychczasowe wyniki ludzkich badań nic tu pomóc nie mogą. Rozpoczynamy grę hazardową, ale to jest jedyna możliwość uratowania naszego życia. Wy panowie jesteście jedynymi ludźmi na ziemi, którzy wiecie o niebezpieczeństwie. I pozostaniecie jedynymi, albowiem byłoby rzeczą wręcz niemożliwą zabrać ze sobą większą ilość ludzi.

Musimy poczynić olbrzymie przygotowania. Musimy się zaopatrzyć we wszystko, co nam może być potrzebne do życia. Najprostsze rzeczy przyjdzie nam zabrać ze sobą. Dotychczas nie zostało stwierdzone, czy na Marsie ogóle istnieje życie.

Udajemy się zatem do świata, któremu brak wszelkich tych urządzeń, które my cywilizacją nazywamy. Będziemy pierwszymi ludźmi, stawiającymi tam swoje stopy na gruncie nieznanego świata. Będziemy zmuszeni sami starać się o wszystko do życia potrzebne.

Zważcie, że cały rodzaj ludzki zginie zniszczony przez fatalną planetę. A my będziemy jedynymi ludzkimi osobnikami, którzy się uratują z otchłani śmierci.

Niegdyś Noe uratował się z Potopu, budując arkę na wodzie, a teraz my zbudować mamy arkę powietrzną, która nas poniesie w inne światy do nowego życia.

Robur Hall przerwał na chwilę. Potem z pośród stosu planów wyciągnął wielki biały karton i podniósł go w górę tak, aby wszyscy widzieć mogli.

Tamci wszyscy potrząsali głowami, co uświadomiło inżynierowi, iż nie rozumieją, co właściwie ma oznaczać ten kolos.

— To jest nasza arka panowie.

Żywe poruszenie wśród obecnych.

Miliarderzy silnie zainteresowani podeszli bliżej stołu, aby obejrzeć plany.

— Powiedziałem już panom — ciągnął Robur Hall — że przy pomocy dotychczas istniejących samolotów nie zdołam naszego planu urzeczywistnić. To, co panowie tutaj widzicie, to jest nowy wóz powietrzny, który mam skonstruować. Ten plan jest jeszcze schematyczny i niezupełnie ścisły w szczegółach. Brakło mi czasu na zbudowanie modelu. Przy konstruowaniu tej arki muszę uwzględnić przede wszystkim trzy czynniki: musimy osiągnąć niesłychaną szybkość, musimy pokonać odległość milionów kilometrów i musimy także liczyć się z niezwykle ciężarem aparatu, obciążonego wszystkim tym, co zabrać nieodzownie trzeba. Doktor Fabrycyus przedstawił wam. Już panowie, że będziemy zmuszeni zaczynać wszystko na nowo — jako osadnicy na terenie nietkniętym przed nami stopą ludzką. Trzeba olbrzymich kapitałów i wielkiej odwagi, bo gra hazardowa o największą stawkę — o nasze życie!... o nasze istnienie!...

Rodzaj ludzki przestanie istnieć. My będziemy jedynymi przedstawicielami tego zaginionego gatunku... Jedynymi ludźmi w wszechświecie!...

Długa pauza.

Robur Hall długą, białą, wypielęgnowaną ręką przesunął po czole, na którym wystąpiły krople potu.

Jeszcze nie osiągnęli swego celu on i doktor Fabrycyus.

Jeszcze żaden z tamtych nie zabrał głosu, nie wyraził swego zapatrywania. Jeszcze trwali w milczeniu i nie wiadomo było, czy zostali ostatecznie przekonani...

Nieufność jednego mogła zniechęcić wszystkich, a wówczas przepadłby cały plan. Trzeba było ujarzmić umysły tych ludzi, wpoić w nich przekonanie, że droga wskazywana im jest jedyną drogą ratunku.

— Widzicie tutaj, panowie, naszą arkę. Ona pokona wszelkie przeszkody, stawi zwycięsko czoło wszelkim niebezpieczeństwom. Będzie dostatecznie wielka, aby w niej można było pomieścić wszystko, co nam niezbędne. Liczę się z obciążeniem o wadze pięciuset tysięcy kilogramów. To wystarczy.

Dwa problemy należało przede wszystkim rozwiązać: problem formy i problem siły. W pierwszym rzędzie koniecznym jest stworzenie metalu możliwie najlżejszego. Prace moje w tym kierunku jeszcze nieukończone, sądzę jednak, że uda mi się uzyskać metal sto razy lżejszy od aluminium. Cały aparat zarówno jak i przedmioty, które zabierzemy ze sobą, będą zrobione z tego metalu, któremu dam nazwę „robalu“.

Ściany arki składać się będą z dwóch cienkich płyt, a przestrzeń pomiędzy tymi płytami wypełniona zostanie „hydronem”, gazem, który ja wynalazłem przed laty. Gaz ten, silniejszy dwudziestokrotnie od wodoru, jest moją wyłączną tajemnicą, której nikt nie zna...

Gaz ten można z łatwością zagęszczać tak, będzie można poczynić i zabrać ze sobą większe zapasy hydronu.

Chodzi o to, aby odpowiednio rozłożyć konieczne nam siły. Potrzeba nam siły, która by nas naprzód popchnęła i takiej siły, która by pokonała siłę ciężkości...

Oczywiście zasada musi być zupełnie inna, niż przy zwykłych samolotach.

I tak szczegół po szczególe rozstrzygał Robur Hall swój plan zawrotny, a jednak ściśle precyzyjny we wszystkich obliczeniach.

Plan wielki... genialny...

Mówił tak przeszło godzinę... płynnie, przystępnie, jasno... Pokazywał plany, rysunki, szkice...

Wreszcie zakończył:

— Obecnie orientujecie się już panowie w zasadniczych podstawach problemu. Doktor Fabrycyus zdradził swą tajemnicę jedynie mnie i wam. Mnie — ponieważ byłem mu potrzebny jako techniczny wykonawca planu; wam — dlatego, że trzeba mu waszych pieniędzy. Decydujcie się zatem, moi panowie. Uprzedzam, że koszt konstrukcji będą olbrzymie!... Ale wiecie, że chodzi o życie!... Decydujcie się!...

Robur Hall zebrał swoje plany ze stołu i opuścił salę razem z doktorem Fabrycyusem. Miliarderzy trwali jeszcze ciągle w upartym milczeniu. Siedzieli w fotelach — oszołomieni, niezdolni do zebrania myśli.

Nagle zgasło światło. Na ścianach pojawiły się małe lampki, płonące przyćmionym, zielonkawym światłem.

Robur Hall był sprytnym i pomysłowym człowiekiem. Wiedział on dobrze co czyni.

I te światełka doskonale obliczone na efekt, zabłyśły na jego zarządzenie.

Takie oświetlenie zdaniem inżyniera — doskonale miało podziać na nerwy.

Doktor Fabrycyus i Robur Hall stali za drzwiami i rozmawiali cicho ze sobą.

Czekali na decydujący moment, na ostateczne słowo.

Cisza. Goście milczeli jak zakłęci.

Doktor Fabrycyus odsunął klapę okienka w ścianie i zajrzał w głąb sali. Jego przenikliwe oczy usiłowały przedrzeć zasłonę ciemności i zbadać wyraz każdej

poszczególnej twarzy.

Minęło jeszcze parę minut. Nikt nie poruszył się. Wszyscy trwali nieruchomo w milczeniu, rozważając to, co słyszeli.

Wreszcie w gronie miliarderów dał się zauważyć jakiś ruch. Ktoś wstał z fotelu.

Doktor Fabrycyus skinął na inżyniera. W jego oczach zabłyśły ogniki:

— Wygraliśmy, Robur Hall! — rzekł ochryłym nieco głosem. Ran Yoor pierwszy!...

Robur Hall zajrzał przez okienko. Hindus Ran Yoor wyjął z kieszeni książeczkę czekową i napisał coś...

Tamci patrzyli na niego...

Potem z kolei zjawił się drugi — Mr. Rooth!...

Potem miłośnik sztuki Mr. Daught, a za nim Jonas Aberdeen z Bostonu.

Robur Hall przekręcił guzik kontaktu. Oślepiająca światłość zalała salę.

Doktor Fabrycyus i Robur Hall weszli.

Miliarderzy jeden po drugim podchodzili do nich i podawali czeki.

Robur Hall uważnie kontrolował cyfry:

— Dziękuję wam panowie... — rzekł wreszcie.

Potem siadł przy stole i podpisał kwity. Następnie położył swój podpis doktor Fabrycyus.

Robur Hall rzekł:

— A teraz przysięga!... Musicie złożyć przysięgę, że nikt się nie dowie o tym, o czym tutaj mówiliśmy!...

Nikt z tamtych nie uśmiechnął się i wszyscy złożyli przysięgę.

Potem znowu pojawiła się służba, niosąc wino, słodczyce, przekąski, cygara i papierosy.

Rozmowa toczyła się oczywiście wokół kwestii, zajmującej umysły wszystkich obecnych.

Wiele ważnych szczegółów pozostawało do rozważenia.

Mr. Daught był człowiekiem żonatym.

Każdy z miliarderów mógł zabrać ze sobą dwoje krewniaków lub dwoje służby, jeżeli to są silne i odporne na trudy natury.

Poza tym nikogo!

Co miesiąc miały odbywać się narady w sprawie postępów budowy. Najdalej za pięć

miesiący wszystko miało być gotowe. Tak postanowił doktor Fabrycyus, a nikt nie pytał dlaczego. Wszyscy poddali się bez zastrzeżeń woli i autorytetowi astronoma. Doktor Fabrycyus wiedział, co czyni. Po upływie pięciu miesięcy ogół ludzkości spostrzeże niebezpieczeństwo. Wystąpią, bowiem oznaki, wskazujące że do ziemi zbliża się nieznana olbrzymia planeta.

A wtedy oni będą już daleko — daleko od ziemi, skazanej na zagładę i od tłumu, którym on dr. Fabrycyus pogardzał.

Jemu miał towarzyszyć jeden tylko człowiek Rhy, nie dlatego wcale, aby go do tego skłaniało przywiązanie do wiernego służącego, ale dlatego, że zdawał sobie sprawę z tego, iż człowiek o żelaznym organizmie może mu być wielce przydatny.

Inni mogą zginąć, obrócić się w proch, z którego powstali.

ROZDZIAŁ IV.

Arka.

Upłynęło dziesięć dni. W kalendarzu widniała data 25 marca Bilingi stopniały. Wiosna wczesne rozpoczęła się lego roku. Powiewał ciepły, wiosenny wiatr.

Był to czas wielce pomyślny dla robót Robura Halla.

Inżynier nie tracił czasu, ale gorliwie pracował.

Wielkie, samotne pole w okolicy San Francisco zaroilo się robotnikami. Jakby z pod ziemi wyrosły domki mieszkalne, olbrzymia hala i piec hutniczy.

Robota wrzała.

Poprzez rozległą, równinę ciągnął się długi wazki, brudno-szary i brunatny pas — gościniec.

Automobil elektryczny najnowszego typu pędził w szalonym tempie przez gościniec.

Wóz zatrzymał się w pobliżu rozpoczętych budowli. Wysiadł z niego niedużego wzrostu mężczyzna, owinięty w szeroki płaszcz.

To doktor Fabrycyus przybył skontrolować postęp w pracy.

Już z daleka dojrzał go inżynier i pobiegł mu naprzeciw.

— No, cóż tam słysząc, Hall?

— Dziękuję. Wszystko w porządku.

— „Robal” będzie?

Inżynier wskazał na kolosalny piec.

— Tam wytapia się mój „robal” — najłżejszy metal na świecie. Za pięć dni będziemy posiadali dostateczną ilość. Także i w „hydron” zaopatrzymy się dostatecznie. Jutro rozpoczynamy pracę nad budowaniem miotacza.

Doktor Fabrycyus słuchał uważnie.

— Gdzie go pan wstawi?

— Robur Hall wskazał ręką w kierunku południowo-wschodnim.

— Tam — o kilometr stąd — wmurujemy go w ziemię.

— Jaka będzie jego wielkość?

Hall wydobyl notes z kieszeni.

— Długość rury 125 metrów, średnica 25 metrów... To wystarczy.

Doktor Fabrycyus pokiwał głową:

— No, sądzę — rzekł krótko.

Robur Hall uśmiechnął się.

— Liczę się z tym, że będziemy musieli zabrać dwadzieścia osób i olbrzymie zapasy.

— Kiedy przybędzie pan do „Zamczyska”?

— Nie wiem. W najbliższych dniach dom dla mnie zostanie ukończony. Nie będę wówczas wracał wieczorem do San Francisco... Ciągły mój nadzór przyspieszy tempo pracy...

— Czy nikt z tych ludzi nie domyśla się o co chodzi?

— Nikt. Uważają mnie za ekscentrycznego Anglika. Przybrałem nazwisko: Ralf Stevenson. Nie chcę, żeby wiedzieli, kim jestem.

Doktor Fabrycyus poklepał go po ramieniu.

Wybornie, Hall!... Pan jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który mnie zrozumiał.

G o o d b y! Za tydzień będę tutaj znowu.

W kilka minut później auto znikło w pyłe gościńca.

Hall spoglądał za nim w zamyśleniu.

— To geniusz — ten doktor Fabrycyus! — Ale bestia w ludzkim ciele!... Ani śladu serca!... Wszakże ten człowiek ma w swoim ręku życie milionów ludzi, a pozwoli im zginąć, bo ich nienawidzi!... Gdy on w ogóle kogokolwiek kocha?...

— Bestia!... — Powtórzył raz jeszcze Robur Hall i poszedł do swoich robotników, aby ich pobudzić do intensywniejszej pracy.

Umiął on, jak nikt inny wydobywać z każdego pracownika maksimum tego, co ten mógł dać ze siebie.

Ekscentryczny Anglik Mr. Stewenson płacił bajeczne gaże. Już do tego czasu budowie pochłonęły kolosalne kwoty, ale Mr. Stevenson nie szczędził niczego. Ale za to wymagał pracy, przechodzącej po prostu ludzkie siły.

Robotnicy musieli pracować po szesnaście godzin na dobę z półgodzinną przerwą. Kto nie mógł podołać, napędzano go bezlitośnie. A ci, którzy pozostali, pracowali tym usilniej, aby pozostać na tak intratnym stanowisku.

Takich płac nie otrzymaliby nigdzie!...

Nie troszczyli się leż wcale o to, jaki jest cel tych robót. Chodziło im wyłącznie o zarobek, a reszta była dla nich obojętna.

Przy tym Mr. Stevenson starał się o to, aby mu nikt nie zajrzał w karty. Od pięciu inżynierów, którzy kierowali poszczególnymi działami robót, odebrał Robur Hall przysięgę, że nikomu nie powiedzą, gdzie i nad ozem pracują.

Nie poprzestając na tym — Mr. Stevenson roztoczył czujną kontrolę nad wszystkimi bez wyjątku pracownikami.

Nikommu nie wolno było opuszczać miejsca pracy.

Co tydzień specjalny pociąg dowoził żywność i konieczne do życia przedmioty.

Mr. Hall był doskonałym organizatorem. Obliczył on dokładnie wszystko do najdrobniejszego szczegółu. Wszystko szło jak z płatka. Niezbędne surowce i maszyny były na miejscu, aprowizacja pracowników pierwszorzędna.

Robotnicy zachwyceni byli znakomitym jedzeniem, które im podawano. Tylko alkohol był surowo wzbroniony.

Raz jeden tylko zdarzyło się, że schwytano jednego z robotników w chwili, gdy popijał whisky. Robur Hall natychmiast go wypędził.

Alkohol był najgroźniejszym wrogiem, który mógł się Hallowi przeciwstawić.

Inżynier nie mógł bowiem zmieniać robotników. Każdy z nich był już wypróbowany, utrata któregośkolwiek z nich, stanowiła lukę nie do wypełnienia.

Nie tak to było łatwo znaleźć innego, który by równie intensywnie pracował. Wszyscy, których Robur Hall przyjął, byli to ludzie wybrani, pod względem siły, zdrowia, zdolności i wytrwałości.

Każdy z nich był mistrzem w swoim zawodzie. To też już po kilkunastu dniach sporządzono wystarczającą ilość robalu, a po upływie dwóch tygodni wykopano i wybetonowano olbrzymi dół.

Inżynierom powiedział Mr. Stevenson, że chodzi tutaj o wygranie zakładu, ale w bliższe szczegóły ich nie wtajemniczał.

Dzieło postępowało naprzód. Co tydzień zjawiał się doktor Fabrycyus. I on nie próżnował. Wszystko to, czemu nie mógł podołać sam Robur Hall, brał na siebie doktor Fabrycyus. Pracował gorączkowo, ogarnięty żądzą ukończenia jak najprędzej zbawczej arki.

W trzecim tygodniu pracy przyjęto dwudziestu nowych robotników. Robur Hall obliczył, że będzie mógł ukończyć swoje dzieło o osiem dni wcześniej, niż był pierwotnie zamierzone.

Doktor Fabrycyus był ogromnie zadowolony. Uznania swego nie wyrażał wprawdzie w słowach, ale całym zachowaniem swoim pozwalał odczuć inżynierowi, że go podziwia. I ufał mu bezwzględnie.

W czwartym tygodniu rozpoczęto prace nad budową miotacza. 25 Kwietnia odbyło się na placu budowy nowo zebranie miliarderów, którzy ze zdumieniem kontrolowali zawrotnie szybkie tempo pracy inżyniera.

Ich także Robur Hall zaprzęgnął do pracy. Każdemu z nich przydzielił jakąś robotę, którą obowiązani byli wykonać.

Miliarderzy poddali się władzy inżyniera bez szemrania.

I oni uznawali jego autorytet, jego genialną umysłowość i niezwykłą energię i wyjątkowy zmysł organizacyjny.

W ten sposób mijał miesiąc za miesiącem. Dzieło zbliżało się do końca. Robur Hall dokonywał rzeczy wprost nadludzkich. Sam osobiście czuwał i kierował nad całością pracy, zajmującej obecnie tysiące rąk.

Ciągle trzeba było przyjmować nowych robotników, ciągle konstruować nowe budowle, aby wszystko było pod ręką.

Stworzono własną elektryczną centralę, odrębne wodociągi i wielkie obozowisko prowizorycznych domów mieszczących wszystko, co było potrzebne ludziom do życia i do pracy przy budowie.

Robur Hall stawał się coraz ostrożniejszym. Albowiem w miarę, jak dzieło rosło, coraz trudniej było rzecz całą utrzymać w tajemnicy.

A jednak nikt nie mógł się o tym dowiedzieć. Wszystkie transporty przesłano z San Francisco do willi doktora Fabrycyusa i dopiero stamtąd przybywały one na miejsce przeznaczenia, tak, iż nikt nie wiedział, dla kogo przeznaczone są te towary.

Specjalnie strzec się należało dzienników.

Oczywiście nieobecność czterech największych miliarderów Ameryki nie mogła ujść niepostrzeżeniu, musiała zwrócić uwagę reporterów, chciwych sensacji.

Niczego jednak nie zdołali się dowiedzieć. Żaden z nich nie wykrył gdzie się czterej bogacze znajdują.

Hall przedsiębrał coraz to inne środki ostrożności. Miliarderzy musieli przybywać w różnych przebraniach czasem automobilem, czasem aeroplanem, a czasem nawet piechotą.

Robur Hall nic sobie z tego nie robił, że ma do czynienia z ludźmi przyzwyczajonymi do najwykwintniejszego i najwygodniejszego życia. Wymagał od nich równie intensywnej pracy, jak od siebie samego i od wszystkich innych.

Ale też sukces był zupełny. Ludzkość nie dowiedziała się niczego o wielkiej tajemnicy. Reporterzy, ścigający miliarderów, niby ich cienie, ponieśli kompletną klęskę. Pomimo wszelkich podstępów nie udało się wykryć, dokąd się ci czterej ludzie co miesiąc w największej tajemnicy udają. Znikali nagle i nagle w kilka dni później pojawiali się, niczego nikomu nie zdradzając.

Najgenialniejsi reporterzy z „Heralda“, „Ti- mesa“ i innych wielkich dzienników poniechali wreszcie niewdzięcznego zadania, doszedłszy do przekonania, że natknęli się na tajemnicę, której niepodobna rozwiązać.

Robur Hall odetchnął, pozbywszy się tej plagi reporterskiej. Mógł teraz pełnię sił i energii poświęcić wykończeniu swego dzieła.

20-go lipca budowa arki była już prawie ukończoną, a próby kontrolne, dokonywane przez Robura Halla, dały wyniki zupełnie zadawalające.

Doktor Fabrycyus pojawiał się ciągle z coraz to nowymi zapasami. Również i miliarderzy nie próżnowali.

30-go lipca 4000 roku arka stała gotowa do odlotu. Olbrzymie stalowe cygaro, zaopatrzone w kolosalny propeller.

Robotników zwolniono, domy zburzono. Tylko trzech ludzi zatrzymał inżynier. Ci mieli mu być pomocni przy odjeździe.

Jednego z inżynierów, Maca Harimana, chciał Robur Hall zabrać ze sobą.

Był to dzielny, zdolny i ogromnie miły człowiek, a przy tym nie był żonaty i nie miał bliskiej rodziny.

Na dzień 2-go sierpnia zwołano nadzwyczajne zebranie.

Koło godziny 11 przed południem ukazały się cztery samoloty. Doktor Fabrycyus przybył już poprzedniego dnia.

Hall rozpoczął swój raport:

— Widzieliście arkę, panowie! — rzekł — teraz możecie się dowiedzieć tylko szczegółów. Przede wszystkim pozwólcie, że...

Drzwi otwarty się i wszedł Mac Hariman.

— Oto mój przyjaciel Mac Hariman, który będzie nam towarzyszył.

Wtajemniczyłem go we wszystko.

Przedstawiono się sobie wzajemnie.

— Jak panowie widzicie, jesteśmy już zaopatrzeni we wszystko aż do najmniejszej drobnostki. Niczego nie brakuje. Możecie sami dokładnie wszystko skontrolować.

— A teraz chcę panom podać kilka cyfr, które z pewnością was zainteresują. Jak już poprzednio wspomniałem, pierwsze 6 milionów mil musimy przebyć przy pomocy miotacza, który nas wyrzuci w górę. Oczywiście praca propellera musi osiągać taką samą szybkość. Dla przebycia jednej mili musimy zużyć sekundę, tak, iż w przeciągu 100 dni zdołamy przebyć 8, 600. 000 mil. Jest to szybkość zdumiewająca nawet dla nas, którzy żyjemy w 50-tym stuleciu po Chrystusie.

Mr. Hall zamilkł. Nawet jego samego przeraziła wielkość problemu, który mieli rozwiązać. Jakaś niespodziewana, nagła groza przejęła go, odbierając mowę.

Wkrótce jednak zapanował nad sobą. Nie chciał, żeby tamci zobaczyli, że słabnie.

Musiał mieć odwagę, aby i innych nią natchnąć.

Zebrał więc całą energię i uśmiechnął się tak, jak się uśmiecha zwycięzca tryumfator.

Tamci ściskali mu ręce, gratulowali, dziękowali za wszystko, co zdołał w przeciągu tych czterech miesięcy.

Doktor Fabrycyus ujął również rękę inżyniera i trzymał ją dłuższą chwilę w mocnym uścisku. Obaj ci mężczyźni spojrzeli sobie w oczy. W oczach astronoma wyczytał Robur Hall nieme, ale gorące podziękowanie.

— Niema mi za co dziękować, doktorze — rzekł z uśmiechem Robur Hall. — Robiłem tu przecież także dla siebie.

Do 12-tej godziny naradzano się jeszcze nad tym, co obecnie począć należy. Za tydzień mieli się znowu wszyscy zebrać, aby się udać do nowego świata.

7-go sierpnia o godz. 8 rano miał się rozpocząć lot.

W godzinę później Mr. Hall położył się na spoczynek. Usnął natychmiast i obudził się dopiero po upływie 24 godzin. Nerwy jego wymagały spoczynku. Za dużo pracował, za dużo dawał z siebie w ciągu ostatnich tygodni. A przecież był także tylko człowiekiem, a nie maszyną.

Przez 7 dni twórca arki wypoczywał. Kontrolował tylko, czy wszystko jest w porządku, poza tym jednak nie robił nic. Wszystko jednak było gotowe do ostatniej śrubki — wszystko gotowe do lotu!

ROZDZIAŁ V.

Do nowego świata!

Cudny, różano-złocisty poranek wstawał na wschodzie!

Była to godzina siódma rano, gdy po wielkim, pustym polu koło San Francisco uwijali się już mężczyźni obciążeni kuframi i skrzyniami. Wszyscy oni spieszyli w kierunku południowym i znikali nagle pod ziemią.

Olbrzymia rura stalowa wystrzelała w powietrze, odcinając się ostro od przeczystego błękitu nieba.

Znowu grupa ludzi, na czele której kroczy doktor Fabrycyus wraz z inżynierem Roburem Hallem..

Za nimi miliarderzy, Mr. Daught z żoną i służący.

I oni znikają, jak gdyby ich ziemia pochłonęła.

Przez ukryte drzwi dostają się do korytarza, wyżłobionego pod ziemią.

Korytarz ten prowadzi do wielkiej hali, stanowiącej punkt oparcia dla owej kolosalnej rury stalowej, spoglądającej wyzywająco w niebo.

Mr. Hall wiedzie całą grupę. Otwiera małe, zasuwane drzwi u podstawy rury i gestem zaprasza swych towarzyszków, aby weszli do wnętrza.

Trochę niepewnie, trochę wahająco idą za inżynierem. Po chwili znajdują się w

obszernej sali, w której zmuszeni będą pozostać przez cały czas, dopóki nie znajdą się w swej nowej ojczyźnie — na Marsie.

Pełne podziwu spojrzenia ślizgają się po ścianach, po urządzeniu sali — wygodnym i praktycznym.

Zebrało się razem 12 osób: doktor Fabrycyus, Robur Hall, Mr. Daught z małżonką, pokojówka i jego służący Rhy, Robur Hall, inżynier Mac Hariman, pani Daught i Mr. Aberdeen, Mr. Francis Rooth, Raan Yoor i dwóch służących.

Robur Hall jest wielce zadowolony. Wszyscy służący, towarzyszący swoim panom — to ludzie silni i zdrowi. Rhy, zaufany doktora Fabrycyusa pracuje za trzech.

Można zatem śmiało wyruszyć w podróż.

Robur Hall popisuje się swoim dziełem. Wnętrze pocisku obejmuje cztery ubikacje. Wielką salę, w której wszyscy mają mieszkać, łazienkę połączoną z kuchnią, kolosalną spiżarnię, przepelnioną zapasami i niewielki gabinet do pracy dla inżyniera.

— Nie traćmy czasu na oglądanie — mówi Robur Hall — mamy dość czasu przed sobą...

A teraz pozwolicie państwo, że was na chwilę -opuszczę.

Inżynier oddala się do swojej willi, gdzie czeka na niego trzech najtęższych werkmistrzów, których jeszcze zatrzymał.

— Morning! Mr. Stevenson — witają inżyniera — czy zaczynamy?

— Tak jest. Już czas.

Mr. Steyenson opuszcza willę w towarzystwie werkmistrzów, którzy nie widzieli nikogo z pośród pasażerów arki.

Nikt na ziemi nie wie, kto należy do grona zbiegów — oprócz tych jedynie, którzy znajdują się we wnętrzu pocisku.

Miliarderzy opuścili potajemnie swoje pałace. Przybyli tutaj w samolotach. Porzucili wszystko co posiadali: wille, auta, jachty, kopalnie, rozległe dobra...

A teraz niema już odwrotu...

Tamci pozostali na ziemi ludzie dopiero za kilka tygodni — spostrzegą, że grozi im nieuchronna zagłada... Ale wtedy oni ocaleni przez doktora Fabrycyusa i genialnego Robura Halla znajdować się będą daleko we wszechświecie - wyzwoleni ze wszystkiego — co ziemskie.

Mr. Hall poprowadzi! Trzech robotników do podziemnego korytarza, gdzie każdemu z nich wręczył paczkę banknotów jako wynagrodzenie za ostatnią pracę.

Na czym polegała ta praca?

Należało podnieść dźwignię i załączyć prąd. Oto wszystko. I za to każdy dostał 50.000 dolarów.

Robotnicy kiwali głowami w niemym podziwieniu.

Zaiste, że ten Mr. Stevenson to niezwykle człowiek!...

Ekscentryczny i hojny!...

— Good by! — rzekł Mr. Stevenson — za pięć minut wzlądujemy w przestworze.

Potem przez małe drzwi wszedł do wnętrza pocisku i zaraz drzwi zasunięto.

Tamci trzej spojrzeli po sobie. Jeden z nich puknął palcem w czoło, wyrażając w ten sposób swoje zdanie o umysłowości pana Stevensena.

Towarzysze jego kiwnęli głowami potakująco.

Jeden z nich wyjął zegarek z kieszeni:

— Za pięć minut!

Mr. Hall rzekł do swoich towarzyszy:

— Moi państwo! Proszę się teraz trzymać mocno. Za 80 sekund odlatujemy!...

Żegnajcie się z Ziemią i ze wszystkim, coście na Ziemi przeżyli i zostawili!... Nowe istnienie rozpoczyna się dla nas!... Za 75 sekund, moi państwo!...

W sali panowała taka cisza, że nieomal każdy słyszał przyspieszone bicie własnego serca,

— Trzymać się!...

Nagle trzask... Odgłos detonacji... i silne wstrząśnienie... Kilka osób upadło na ziemię... Inni kurczowo chwytali się ścian i mebli.

Potem cisza...

Robur Hall uśmiechnął się widząc przerażone twarze.

Dłuższą chwilę panowało milczenie.

Wreszcie Robur Hall rzekł:

— Moi państwo! W tej chwili znajdujemy się już jakie 25 mil ponad ziemią!...

Nikt z obecnych nie odezwał się ani słowem. Cisza, która zaległa wewnątrz pocisku, przepojona była jakimś nerwowym niepokojem, nieokreśloną trwogą...

Jedynie tylko czterej ludzie uśmiechali się niedbale: doktor Fabrycyus, Robur Hall, inżynier Hariman i Rhy.

Ich nie przerażała już wielkość problemu, zanadto się z nim oswoili.

Zachowali tedy zupełny spokój i zabrali się do roboty.

Pracy było dość dla wszystkich i należało ją rozdzielić odpowiednio do indywidualnych zdolności.

Robur Hall wydobył notatnik i zaczął każdemu przydzielać czynności.

Rhy, jako najzręczniejszy, musiał objąć rolę szefa kuchni. Pokojówka pani Daugh miała mu pomagać.

Inni również nie odeszli z próżnymi rękami. Nikt nie mógł być zwolniony od roboty. Różnice pomiędzy panem a służącym zniknęły. Jedynie zdolności i energia miały decydować o wyższości hierarchicznej.

Już w ciągu pierwszego dnia podróży mówiono sobie wzajemnie: ty. Wszakże ta mała gromadka tworzyła obecnie odrębne społeczeństwo, ściślej zespolone ze sobą, aniżeli jakakolwiek rodzina na Ziemi

Minęła już godzina 13-ta, kiedy Rhy zameldował, że jedzenie gotowe

Zastawa była bardzo skromna. Wszelki zbytek został skazany na wygnanie.

Na stole stały proste talerze z robalu, z tego samego metalu zrobiono również widelce i łyżki.

Jedzenie było bardzo smaczne. Robur Hall, zamawiając konserwy, dawał zlecenia jedynie pierwszorzędnym fabrykom.

To też wszystko było doskonale i świeże, choć może niezupełnie odpowiadało rozpieszczonym podniebieniom miliarderów.

Tak upłynął pierwszy dzień podróży.

Robur Hall siedział za stołem i obliczał.

On to miał powierzone sobie najtrudniejsze, najbardziej odpowiedzialne zadanie.

Obliczał ile godzin znajdowali się już w drodze, przerachowywał godziny na minuty i sekundy i w ten sposób odmierzał odległość dzielącą ich od ziemi.

Pierwotnie liczył się z szybkością mili na sekundę. Okazało się jednak w praktyce, że trzeba brać pod uwagę cyfrę nieco niższą.

Wobec tego wszystkie obliczenia musiały ulec pewnym poprawkom.

Była to praca żmudna i trudna, ale pracy Robur Hall nie lękał się, a jego geniusz umiał przezwyciężyć wszelkie trudności.

Mijały dni.

Mr. Hall skonstatował, że 400. 000 Mil dzieliło gromadkę zbiegów ziemskich od ich ojczyzny ziemi.

Dotychczas nie zaszła jeszcze konieczność puszczenia propellera w ruch.

Siła, która wyrzuciła ich w górę, mogła jeszcze wystarczyć na całe tygodnie. Życie w arce unormowało się według ściśle obmyślanego planu. Każdy wypełniał powierzone mu zadanie, a wolny czas poświęcano pogawędce, czytaniu książek, których spory zapas znajdował się w arce, grze w szachy i tym podobnym rozrywkom.

Doktor Fabrycyus również nie próżnował.

W gabinecie Halla urządził sobie małe obserwatorium astronomiczne i studiował pilnie niebo. Ale to bynajmniej doktorowi Fabrycyusowi nie przeszkadzało.

Arka z szaloną szybkością pędziła naprzód, przeszkadzało w jego badaniach. Całe dnie i noce siedział przy swojej lunecie, jakby nie mógł oderwać oczu od rzeczy, pochłaniającej w pełni jego uwagę.

Znowu upłynął szereg dni... jednostajnych, monotonnych dni — w kołowrocie codziennej, drobiazgowej pracy...

Wreszcie pewnego dnia doktor Fabrycyus zjawił się niezwykle poważny i uroczysty. To był ten wielki dzień, oczekiwany i wieszczony przez dziesiątki tysięcy lat... Dies irae — dies ille... dzień zagłady ziemi... dzień zniweczenia małej, drobnej planetki, która dla bilionów ludzkich istnień stanowiła wielki, niezmierny świat.

Dzisiaj miało się to stać.

Doktor Fabrycyus zaprosił wszystkich towarzyszy, aby śledzili to nadzwyczajne widowisko...

Tutaj wszyscy, wszyscy stali przy oknach, spoglądając w czarną, nieprzeniknioną noc — błyszczącą miliardami gwiazd.

— Patrzcie!... Patrzcie!...

Doktor Fabrycyus wskazał na dwie gwiazdy. Jedną z nich była ziemia, drugą „Demon” — zagłada ziemi.

I teraz czekali wszyscy na wyroczną chwilę, gdy dwa te światy zetkną się ze sobą i ziemia rozbije się na drobne kawałki, niby gliniana skorupa.

Godzina upływała za godziną, a katastrofa jeszcze nie nastąpiła... Widocznie w biegu „Demona” zaszło jakieś opóźnienie.

Ostatecznie wszyscy zmęczeni bezskutecznym wyczekiwaniem, porzucili swoje stanowiska i udali się na spoczynek.

Wszyscy — oprócz doktora Fabrycyusa, który płonącymi oczyma spoglądał w czarną noc, wąskimi białymi palcami silnie obejmował szkło lunety i — czekał.

Ale i jego w końcu pokonało zmęczenie. Powieki zaczęły mu ciężyc, potem opadły na oczy, głowa osunęła się na pierś i astronom zasnął.

Fabrycyus nie mógł jednak spać długo...

Niepokój nie pozwolił na dłuższy spoczynek...

Zbudził się, przetarł ręką czoło i spojrział znowu w szkła lunety.

Nagle straszny krzyk wstrząsnął powietrzem w arce.

Robur Hall, Rhy i wszyscy inni zerwali się ze snu. Pospieszyli do pokoju Halla gdzie czuwał doktor Fabrycyus...

Starzec leżał na ziemi zemdłony, nieprzytomny...

Hall był pierwszym, który zrozumiał grozę sytuacji.

Wyrwał zemdłonemu lunetę i pospieszył do okna.

Przez kilkanaście sekund spoglądał w przestrzeń. Potem odszedł od okna.

Zwolna — niepewnymi krokami. W rysach jego twarzy tak zawsze spokojnych — malowało się tyle przynębienia, iż jasnym stało się, że zdarzyło się coś wyjątkowego.

— Go się stało?! — zawołał Mr. Daught.

Robur Hall nic nie odpowiedział. Nie był zdolny wyrzec ni słowa. W czarnych jego włosach pojawiły się nagle białe pasma. W ciągu dwóch minut postarzał się o wiele, wiele lat.

Bez słowa wskazał ręką na lunetę. Ale nikt nie śmiał spojrzeć w jej szkła.

Wszyscy czuli, że stało się coś strasznego, a jednak zanadto byli tchórzliwi, aby się naocznie o tym przekonać.

Woleli czekać na to — co powie Hall. Inżynier odzyskał nareszcie mowę, ale dźwięk jego głosu był zupełnie inny.

— Słuchajcie!... Straszna rzeczywistość powaliła doktora Fabrycyusa na ziemię i pozbawiła go przytomności!...

On się omylił!... Słyszycie?!... Omylił się!...

Pokojówka pani Daught wydała przeraźliwy okrzyk, a sama pani Daught padła zemdłona w ramiona mężowskie.

Nie tylko kobiety przeraziła ta nowina, i na głowy mężczyzn spadła ona jak ciężki, ostry druzgocący kamień.

— Patrzcie!... Patrzcie!... — mówił Robur Hall — „Demon“ przesunął się koło ziemi, minął ją, nie potrąciwszy i ziemia istnieje!... Istnieje!... I żyć będzie!...

— Ziemia żyć będzie?!...

Wszyscy rzucili się teraz do okna, przenikając chciwym wzrokiem czarną oponę nocy.. I straszna prawda przedstawiła się ich oczom — nieznana planeta, ominąwszy ziemię, kierowała się na prawo, a ziemia trwała niezłomnie, urągając swoim świetnym blaskiem garstce bezsilnych dobrowolnych wygnańców...

— Więc co teraz?!

— Dlaczegośmy uciekali?!...

— Zostawiliśmy wszystko — majątki!... stanowiska!... przyjaciół, krewnych, znajomych!... A ziemia istnieje!...

— Oszukaliście nas!...

— Na ziemię!... na ziemię!...

Biegali tam i z powrotem po niezbyt obszernym pokoju niby dzikie zwierzęta po klatce.

Hall próbował ich uspokoić, ale nie udawało mu się to. Może dlatego nie udawało mu się, że sam stracił panowanie nad sobą, że zabrakło jemu samemu wewnętrznego spokoju.

— Co teraz?!... Co teraz?!...

Jęczeli, wyli — rzucali mu to pytanie, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi.

Siadł przy stole, pisał cyfry, obliczał, kombinował...

Ręce mu drżały, zimny pot występował kroplami na skronie i czoło... Mgła jakaś mąciła wzrok, zacierając cyfry przed oczami... A cyfry te zaczynały tańczyć, śmiały się drwiąco, pokazywały zęby, jakby chcąc powiedzieć:

— Nie poddamy się tobie więcej. Straciłeś nad nami władzę — ty słaby, omylny człowieku!...

Cyfry jak szalone tańczyły jakiś dziwny, zawrotny taniec, rozbiegały się, potem znowu zbiegały, układając się w przerażająco długie szeregi...

Tworzy się kolosalna cyfra, której ujarzmić niepodobna!...

Robur Hall otarł pot z czoła i liczył dalej. Liczył z całą odwagą rozpaczy, najwyższym wysiłkiem woli, zdobywając się na potrzebną przytomność umysłu.

Po upływie 10 minut Robur Hall podniósł się z fotelu.

Cerę miał sino-błądą, a wokół ust twardy rys, zdradzający niezłomne postanowienie.

— Musimy jechać dalej... Powrót niemożliwy!... Musimy dostać się na Marsa!...

Ciężka, dławiąca cisza zapanowała po tych słowach.

Wszyscy zrozumieli powagę sytuacji. Gardła zacisnęła jakaś niewidzialna żelazna obręcz — boć przecież oni chcieli żyć!... żyć... za każdą cenę żyć!...

Potem Hall zaczął mówić. Usiłował przekonać towarzyszków, że wszystko to co widzieli, nie może mieć żadnego wpływu na ich przyszłe losy.

Wszakże w chwili odlotu z Ziemi liczone się z tym, że na Marsie trzeba będzie rozpocząć nowe życie, że trzeba szukać nowej ojczyzny, nowego świata.

I cóż z tego, że Ziemia nie uległa zniszczeniu? Czy to w czymkolwiek zmienia pierwotne projekty?

— Na Marsa pragnęliśmy dostać się Mars jest celem naszej podróży. A kto teraz wzdraga się przed życiem na Marsie dlatego tylko, że Ziemia ocalała — ten daje świadectwo jedynie własnego tchórzostwa!... Wszakże uprzedzałem, że trzeba będzie ciężko pracować, w pocie czoła walczyć o jakie takie warunki istnienia... Wszyscy czuliście się tacy silni, pewni siebie... A teraz takie tchórzostwo?!...

Mr. Hall umiał przemawiać do ludzi; był nie- tylko genialnym inżynierem, ale i znakomitym psychologiem.

Nikt nie chciał okazać się tchórzem.

Wszyscy po kolei ściskali dłoń inżyniera, wyrażając w ten sposób postanowienie wytrwania w raz powziętym planie.

Wspólnie będą zwalczać niebezpieczeństwa, wspólnie pracować... Założą nowy ród ludzki na innej planecie, na Marsie...

Mr. Hall panował nad sobą, aby najłżejszym drgnieniem twarzy nie zdradzić się, że przeczuwa jeszcze jeden decydujący moment, który rozstrzygnie: życie czy śmierć?

Po cóż ich straszyć?

Jeżeli niedane im będzie pokonać losu, jeżeli nie będą mogli żyć — to i tak dość wczesnie dowiedzą się o tym...

— Dlaczego właściwie nie możemy wrócić na Ziemię? — zapytał nagle Phineas Rooth, dla którego czynnej i energicznej natury ta bezsilność była specjalnie ciężką do zniesienia i upokarzającą.

Mr. Hall wziął swoje obliczenia i zaczął je objaśniać.

Fatalna pomyłka doktora. Fabrycyusa obniżyła znacznie autorytet inicjatorów wyprawy. Słuchano Halla, ale ślepa wiara w jego wskazania znikła.

Zrozumiano, iż zarówno twórca arki jak i doktor Fabrycyus są tylko ludźmi, którzy mylić się mogą.

A to podrywało autorytet przywódców, za których Robur Hall słusznie uważał siebie i doktora Fabrycyusa.

Chciał ich znowu pokonać, ujarzmić, podporządkować swojej władzy.

I nie przy pomocy słów, ale za pośrednictwem cyfr.

Cyfry niech przemówią — cyfry niech rozstrzygną.

Zaczął rachować.

Przez czas podróży zużyto tyle siły rozpędowej, że absolutnie pozostała ilość nie wystarczy do powrotu na Ziemię.

Cztery piąte drogi mieli już poza sobą.

Zapasy dostateczne jest do osiągnięcia celu wyprawy, ale o powrocie niema co myśleć.

Wszyscy słuchali pilnie. Byli tylko laikami, nieobeznanymi z technicznymi problemami, ale starali się zrozumieć, wniknąć w istotę...

Rozczarowanie, które przeżyli, zaostriżyło ich krytycyzm i podejrzliwość.

Nie mogli jednak wynaleźć najmniejszej omyłki w wywodach Halla... Rachunek był ścisły, jasny i nieubłagany.

Cyfry te przemawiały tak wyraźnie, iż każdy musiał przyznać: powrót jest niemożliwy...

Z ciężkim sercem poddali się tej konieczności i powrócili zrezygnowani do swych codziennych prac.

Mr. Hall pozostał w swojej pracowni z nieprzytomnym doktorem Fabrycyusem.

Inżynier prysnął zemdlonemu wodą w twarz i począł mu rozcierać, skronie.

Po kilku minutach Fabrycyus otworzył oczy i błędne spojrzenie utkwiał w twarzy inżyniera.

Hall drgnął przerażony. Czyżby doktor stracił zmysły?...

Obłąkany, przeraźliwy śmiech wyrwał się z piersi doktora...

Inżynier dźwignął z ziemi śmiejącego się ciągle astronoma.

Nie można było już wątpić... Doktor Fabrycyus zwariował!...

Nagle doktor Fabrycyus zerwał się gwałtownie i wybuchnął przeraźliwym, obłąkańczym śmiechem.

Poznanie fatalnej omyłki rzuciło na umysł astronoma pomrokę obłądu.

Znowu wybuch śmiechu, mrozącego krew w żyłach...

— He!... Panie inżynierze,!... — wrzasnął szaleniec. — Czyś już zrobił testament?

Robur Hall przeraził się myślą, że tamci towarzysze mogą usłyszeć krzyki wariata. To wywarłoby niechybnie jak najgorsze wrażenie i wywołałoby panikę.

Do tego nie można dopuścić!

Hall zdecydował się szybko i energicznie działać.

Rozejrzał się wkoło i pochwycił krótką linę. Potem jednym skokiem znalazł się przy szaleńca.

Wszczęła się zacięta walka, bo wariat bronił się rozpaczliwie, tak że Hall, choć o wiele silniejszy — zmagał się z nim bezskutecznie przez dłuższą chwilę.

Wreszcie inżynier zebrał, wszystkie siły i wymierzył doktorowi Fabrycuszowi pomiędzy oczy cios, który astronoma powalił na ziemię i ogłuszył.

Jak podcięte drzewo runął Fabrycyus z łoskotem na podłogę i w kilkanaście sekund później miał już skrępowane ręce i nogi.

Hall dźwignął się z podłogi. Odetchnął głęboko i otarł pot z czoła.

Przeżył straszną, tragedię, którą należało zataić przed tamtymi.

I cóż im powie, gdy będą pytać się o doktora Fabrycusa?

Hall, nie namyślając się długo, opuścił swój pokój i wszedł do ogólnej sali, gdzie wszyscy byli zebrani.

— Doktor zachorował nagle... Potrzebuje zupełnego spokoju. Nikomu nie wolno wchodzić do niego. Ja sam będę mu zanosił jedzenie.

Wypowiedziawszy te słowa, inżynier znikł za drzwiami.

Sen zstąpił na mieszkańców arki. Wyczerpani silnymi wzruszeniami, spali jak zabici, szukając we śnie zapomnienia.

Mr. Hall pozostał na noc w ogólnej sali, nie chciał bowiem pozostawać sam na sam z wariatem. Pokój swój zamknął na rygiel.

Godziny mijały...

Robur Hall zbudził się nagle z niemiłym uczuciem, że czegoś mu brak...

W pierwszej chwili nie mógł sobie uświadomić — co się to dzieje...

Potem uderzyła go niezwykła cisza.

Co to znaczy?! Czyżby propeller przestał działać?!

Inżynier skoczył na równe nogi, wyjął klucz z kieszeni i pospieszył do drzwi swego pokoju, skąd kierowano aparatem...

Nie zdążył jeszcze otworzyć, gdy posłyszał śmiech wariata... W tym szaleńczym chichocie była jakaś piekielna radość...

Drżącymi rękami odsunął Hall rygiel i otworzył drzwi kluczem.

Jedno jedyne spojrzenie, rzucone na dźwignię, uświadomiło inżynierowi całą grozę sytuacji.

A tam przy oknie — stał doktor Fabrycyus, śmiejąc się szydersko, diabolicznie...

— Morning, Mr. Hall! — wrzasnął wariat. — Za późno pan przybywa!... Nie dam się już panu schwytać... Nikt mnie już na świecie nie dogoni!... Nikt!... Good b-b-y!... Jedna chwila i zanim inżynier zdołał zorientować, się — doktor Fabrycyus jednym skokiem rzucił się przez okno...

Hall z błyskawiczną szybkością zatrasnął drzwi, po czym obrócił dźwignię...

Odetchnął. Propeller rozpoczął znowu swoją pracę, maszyna szła, zdążając ku swemu celowi.

Jak długo ruch był wstrzymany — tego niepodobna było obliczyć. Ile cennych minut stracono bezpowrotnie?...

Hall nie miał zresztą czasu na rozmyślanie nad tą kwestią, ponieważ dobijano się już gwałtownie do drzwi

— Gdzie doktor Fabrycyus?! — krzyknął Rhy.

— Popułnił samobójstwo!... Rzucił się z okna!

— Łajdaku!... Tyś go zamordował!...

Nóż błysnął w ręku Syngaleza.

Robur Hall, nie tracąc zimnej krwi, pochwycił swój rewolwer.

— Precz ode mnie!... Mam dziesięć nabo!...

Ale tamten nie przeraził się.

Nienawiść i wściekły gniew świeciły z jego oczu. Ręka obejmowała kurczowo rękojeść noża.

Jeszcze chwila i nóż przebije serce inżyniera.

Rhy sprężył się do skoku, ale nagle huknął strzał i famulus doktora Fabrycyusa padł na ziemię, brocząc we krwi.

Tamci cofali się. Śmierć jednego odstraszyła wszystkich.

Nie śmiejąc atakować inżyniera, mierzyli go spojrzeniami, pełnymi nienawiści.

Wreszcie Hall przemówił:

— Przyjaciele !... Mylicie się!... Jestem niewinny!... Nie zamordowałem doktora Fabrycyusa. Wyjaśnię wam wszystko. Fabrycyus zwariował. Skrępowalem go, ale zdołał poprzecinać swoje więzy i w ataku szaleńczym zatrzymał propeller, co

mogłoby zgubić nas wszystkich, gdybym w porę nie zaradził złemu. Nie mogłem jednak przeszkodzić temu, że szalencie odebrał sobie własnowolnie życie, skacząc z okna...

Robur Hall zamilkł na chwilę, poczem ciągnął dalej:

— Nie wierzycie mi? Zastanówcie się! Dlaczegożbym go miał zamordować?!

Wszak jesteśmy wszyscy związani na śmierć i życie... Doktor Fabrycyus zwariował, skoro rozpoznał swoją pomyłkę... Czy mi wierzycie?...

Patrzył im prosto, szczerze w oczy.

— Pomyliliśmy się, Hall — rzekł wreszcie ktoś. — Wybacz nam!

— Przyjaciele ! Słuchajcie!. Jutro będziemy na Marsie... Chodźcie, pokażę wam naszą nową ojczyznę!...

Zaświtał znowu poranek. Śpiący pobudzili się. Robur Hall przetarł zmęczone oczy i wyjrzał przez okno może po raz setny.

Za jaką godzinę można będzie lądować.

Natychmiast oznajmił to towarzyszom.

Przyjaciele! Za godzinę lądujemy!...

Mieszkańców arki opanowała radość. Nareszcie kończy się ta długa, męcząca, monotonna podróż po międzyplanetarnych przestrzeniach!

Zaczęto gorączkowo robić przygotowania do lądowania.

Hall zamknął się w swoim pokoju i nie wpuszczał nikogo. Musiał kierować aparatem, aby umożliwić lądowanie.

Po upływie pół godziny arka zbliżyła się o tyle do Marsa, że można było gołym okiem zobaczyć — szerokie kratery, pola kamieniste...

Żadnej roślinności... Żadnego życia...

Hall skierował aparat w dół, zmierzając ku rozległemu polu, które wydało mu się najodpowiedniejszym terenem do lądowania.

Po upływie kilkunastu minut arka znalazła się na ziemi.

Hall otworzył drzwi, wysunął głowę i z okrzykiem przerażenia cofnął się znowu.

Twarz miał ziemisto-zieloną, rysy ściągnięte bolesnym skurczem.

— Przyjaciele! — krzyknął inżynier. — Mars nie ma już atmosfery!... Braknie nam powietrza!... Musimy umrzeć!... Żegnajcie się z życiem!...

To były jego ostatnie słowa...

Robur Hall strzelił z rewolweru, mierząc do niewielkiej puszeki blaszanej...

Silna detonacja wstrząsnęła powietrzem... Huk... trzask... a potem znowu cisza i spokój. Spokój śmierci...

KONIEC.